

Joanna Łukomska



Pierwsza  
Rodu

Znawca

Mot  
Mot

RW2010

**JOANNA ŁUKOWSKA**

**Pierwsza z rodu:**

**Znajda**

**Oficyna wydawnicza RW2010**

Poznań 2011

JOANNA ŁUKOWSKA  
PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2011

Redakcja zespół RW2010

Korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Joanna Łukowska 2011

Okładka Copyright © Mateusz Motyka 2011

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2011

Wydanie I

ISBN 978-83-63111-00-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

## Spis treści

---

Rozdział I Poszukiwania.....	5
Rozdział II Strategie.....	26
Rozdział III Narodziny.....	47
Rozdział IV Opowieści.....	70
Rozdział V Testy.....	93
Rozdział VI Decyzje.....	119
Rozdział VII Zmiany.....	153
Rozdział VIII Misja.....	183
Rozdział IX Rodzina.....	212
Rozdział X Sny.....	243
Rozdział XI Nauki.....	271
Rozdział XII Wybory.....	294
Rozdział XIII Fala.....	330
Rozdział XIV Potwór.....	348
Rozdział XV Zdrada.....	375
Rozdział XVI Stado.....	399

## Rozdział I Poszukiwania

*Piszę, bo nie wiem, jak długo jeszcze zachowam tę umiejętność. Tyle innych już straciłam... Nie mogę pływać w rzece, bo prąd jest dla mnie za silny. Nie mogę tańczyć, bo kolana się pode mną uginają. Nie mogę spać pod gołym niebem, bo pokrywam się śnieżką niczym porzucony w trawie miedziak. Nie mogę jeździć konno, bo upadek pokruszyłby mnie jak suchą kromkę chleba. Ale pisać jeszcze mogę, jeszcze umiem.*

*Więc piszę, segregując wydarzenia i wspomnienia. Od dawna notowałam przepisy na maści i kordiały, opisywałam ciekawe przypadki uzdrowień albo osobników różnego autoramentu. Żyjąc samotnie, przywykłam rozmawiać sama ze sobą. Z czasem doszłam do wniosku, że tylko taka dysputa ma sens. Można pokazać dziecku niebo; nauczyć, jak nazywają się poszczególne gwiazdy czy całe galaktyki; ale trudno rozprawiać z nim o wszechświecie czy o szczególnej roli gwiazdozbioru Strzelca w misternym kosmicznym planie. Dziecko nie pojmie. Ja zresztą też nie obejmuję całości zamysłu.*

*Nie mam dzieci. Moja matka też ich nie miała. Niemożliwe? Jednak tak właśnie było. Córki zjawiały się same. Rodziły się gadające, przerażając biologicznych rodziców. Przynosili je do nas na leczenie, jakby to była choroba, i zostawiali, bo Daru nie można wyleczyć. Trafia się raz na stulecie. Albo rzadziej. Wypierano się takich dzieci, talent widzenia nazywając przekleństwem i właśnie w taki sposób kobiety z mojej rodziny zostawały matkami; nie z miłości czy namiętności, ale ze strachu i zabobonu. Ja swojej następczyni jeszcze nie spotkałam. Może nie dane mi będzie poznać kolejnej Wiedzącej. Nie pomogę jej, nie wesprę – o ile kiedyś się zjawi, zostanie sama z nieubłaganim losem.*

*Dlatego piszę, bo jako ostatnia Wiedząca wiem, dokąd zmierza przeznaczenie. Do zniszczenia tego co ludzkie, a raczej tego co dobre w ludziach. Już litość zastąpiła współczucie, a kalkulacja odwagę. Chamstwo i strach się panoszą, siostra donosi na siostrę, brat zabija brata. Przeczuwałam, widziałam... ale chciałam się mylić. Wolalam nie wierzyć, że doczekam takich czasów, w których słońce zgaśnie...*

\*\*\*

**O**d czasu Zaciemnienia, zgodnie z zarządzeniem Boba Prawodawcy, skrzaty z Boru wystawiały warty przy Bukowych Rozstajach, gdzie kończył się polny trakt, przechodząc w wąską leśną przecinkę i Piaskową Drogę. Pierwsza zagłębiała się nieśmiało w Bór, druga go okrążała. Idąc Piaskową Drogą, wystarczało pół klepsydry szybkiego marszu, by po prawej ujrzyć zarośniętą drożynę – wiodącą do Wiedźmowej Polany – a kolejne dwie klepsydry, by dotrzeć do Poręby. Ludzie ze Sporów, chcąc się spotkać z Wiedząca, mogli wybrać krótszą drogę, skręcając z traktu, tuż za mostem, w Babkową Ścieżkę. Ale i ona porosła w ciągu księżycowych lat mchem i siwą trawą. Ani ludzie, ani skrzaty bez absolutnej potrzeby nie kwapili się do odwiedzin u Estery.

Rosie, wnukowi Boba, izolacja i samotność Wiedzącej nie spędzały snu z powiek. Wręcz przeciwnie; a gdyby wraz z nią zapomniano również o Borze i jego mieszkańcach byłby najszcześniejszym ze skrzatów. Niestety, ludzie bali się lasu, ale potrzebowali drewna – na domy, węgiel, łodzie. Gdy konieczność przegrywała ze strachem, wycinali Starodrzew bez opamiętania, zaś brużdżącego im knypka wieszali na pierwszej gałęzi. Dorosły skrzat nigdy nie dałby się złapać. Choćby Wszeciech – cwany ochlapus – od dawna grał na nosie wójtowi, zapuszczając się ze swym zakazanym towarem do samej wsi. W tym jednak sęk, że stawiały się młodziki, ledwo oderwane od cycka matki; większość tych sraluchów wybrała imię i Towarzysza na przedostatniej Ceremonii Nadania, odbywającej się co siedem

księżycowych lat. Toteż najmłodszy mieli ledwie po szesnaście obrotów! Lekceważąc oficjalny zakaz, na wieść o kolejnej wycince, wymykali się z Siedliszcza i gnali na Porębę uzbrojeni w kije, proce i przekleństwa. Nie mieli szans w starciu z gromadą rosnących drwali, wspomaganych przez oprychów z Ochotniczej Straży wójta. Ochotniczej, bo byle kanalia ochoczo do niej wstępowała, skuszona wysokim żółdem i innymi przywilejami. Co gorsza, młodzież podburzał Rob Derwisz, jego własny, tfu, ojciec, który przeżył na przeklętym Wzgórzu Wschodów olśnienie i odtąd smarkał się nad każdym krzakiem i robakiem. Wracił do Siedliszcza tylko po to, żeby jątrzyć. I nie widział, psia jucha, że jego własne stado wymiera!

Bob – rozrzutnie przesypiający resztki pozostałego mu czasu w norze pod Szkarłatną Olchą – nie lepszy. On i te jego durne prawa, które miały im zapewnić przetrwanie. Łajno tam zapewniały! Nawet warty, ostrzegające o zbliżaniu się drwali, nie pomagały. Niby pilnowana gówniarzeria wymykała się jak woda z dziurawego czerepu. Złościło go to okropnie, choć swego czasu, nie tak odległego, był taki sam. Równie durny ze swą młodzieńczą pogardą dla śmierci. Eskapadę na Porębę, uwieczoną starciem z ludźmi, młodzieńcy traktowały jak inicjację. Im bardziej niebezpieczną, tym bardziej kuszącą. Wybrał się na jedną taką wyprawę i starczy. Jeżeli czegoś w życiu żałował, to właśnie tego. Jednak wybrał się, bo matka go powstrzymywała, a on bardzo chciał szalonemu ojcu zaimponować... No i zaimponował, co najlepiej dowodziło, że Rob miał niezdrowo pod sklepieniem. A Rosa stracił wówczas dwóch najlepszych kamratów. Widział, jak płowego Majcherka zatłukli kijami. Patrzył, jak wieszają na gałęzi kędzierzawego Wicherka. I wyderoślał w okamgnieniu! Co z tego? Mimo ostrzeżeń, zakazów i kolejnych pożegnań na Kurhanie Przodków – fest rozróżba nadal kusila bardziej niż rozłożone nogi młodej samiczki. W końcu ludziska wyłapią jednego samczyka po drugim i koniec ze skrzatami. Chyba że on, Rosa, znajdzie jakiś sposób...

\*\*\*

Skurcz złapał palce Estery. Pokonała go, rozprostowując dłoń – aż stawy zatrzęszczały.

*Jednak piszę, mimo protestu opornych członków, gdyż nie zgadzam się z Tym Który Nas Przekreślił. Nie wierzę, że zawinił stary Świtek, który nie zdążył na czas powitać kolejnego wschodu. Zgrzybiałe kulasy nie dały rady donieść go na Wzgórze Wschodów, bo... nie mogły! Zawiódłby nawet jako jurny młodzik. Nie miał szans wygrać z Tym Który Pisze w Gwiazdach. To, co w nich zapisano, zdarzyć się musi.*

*A może jednak nie...? Pani Lasu, Matko Tego Co Dobre i Jasne! Może wszystko da się jeszcze odwrócić, nawet wydawałoby się nieodwracalne? Trzeba tylko znaleźć błąd w pozornie idealnej tkaninie, drobną sprzeczność, maleńki paradoks w skazującym wyroku... Bo czyż z odwiecznego Prawa Życia wilczyca, zabijająca jagnię, nie jest równie niewinna co jej nowo narodzone szczenięta? Gdyby się udało... Wielki Kosmosie, gdyby się udało! Jedna cieniutka nitka mogłaby zmienić cały splot! Jedna mała, z początku ledwie zauważalna nieścistość we wzorze mogłaby odmienić przyszłość, kiedyś tam, gdy po mnie nie zostanie nawet ślad w legendzie. Wtedy byłaby szansa, cień szansy... Pośrodku morza jest kropla. Pośrodku wichury – powiew. Wewnątrz śnieżycy – płatek śniegu. Pomiedzy tłumem – ten, który wszczyna bunt. Zaczyna się zawsze tak samo: od kropli, powiewu, płatka śniegu, zbuntowanej jednostki. Potem nadciąga chaos albo wyzwolenie, zależy, kto pisze kronikę.*

Estera westchnęła. Spieranie się z wyrokami losu męczyło, zwłaszcza w sytuacji, gdy siła ducha zmagala się z niemocą ciała. Starość dawała się jej we znaki. Na to nie było ziela, zaklęcia, sposobu – prócz jednego, ostatecznego rozwiązania. Śmierć utnie wszelkie bóle, dyskusje, wątpliwości, znaki zapytania zamieniając w kropki. Ale Estera jeszcze nie skończyła swego dzieła, póki duch się tlił, póki lampka się paliła, nie zmierzała odpuścić. Czemu? A czemu nie? Przekora towarzyszyła jej od lat. Budziła się na przekór kalendarzom, zasypiała wbrew



rozsądkowi. Wszak mogła umrzeć we śnie. Tylko... jakoś nie umierała. Widać jej los jeszcze się nie dopełnił, piasek w klepsydrze przeznaczenia wciąż ciurkał wąską strużką. Czasami klęła zimnym rankiem, jak przywykła nazywać porę po obudzeniu, że Cicha Pani nie była łaskawa i znów ominęła drzwi jej chaty. Przyjdzie więc po raz kolejny zmierzyć się ze wstawaniem, ubieraniem i całym tym męczącym trwaniem.

– Po kiego grzyba? – spytała stara kobieta.

Czarny kot przeciągnął się, układając długi ogon w retoryczny znak zapytania.

– Za dużo retoryki, za mało konkretów w garnku – podsumowała Estera, wracając na chwilę do głodnej rzeczywistości. Właściwe podejście, kocur miauknął potakująco. Staruszka rozejrzała się po swojej chatce.

Niewielka była, acz solidna. Z drewnianych bali, podmurowana, na porządnym, skalnym fundamencie. W piwniczce, do której wchodziło się, unosząc klapę pośrodku podłogi i zstępując po wąskich, kamiennych schodkach, zawsze panował chłód – nawet w największy skwar, kiedy jeszcze coś takiego jak letni upał miało rację bytu. Loszek pamiętał czasy, gdy trzymała tu żelazne porcje zapasów: solone mięso i suszone warzywa, słoiki z miodem, konfiturami, beczkę z kiszoną kapustą i drugą z kiszonymi ogórkami, z których czerpała dla zdrowotności. Szkorbut ani anemia jej nie groziły. Teraz zapasy się skończyły, po zębach też zostało ledwie wspomnienie. Więc nawet gdyby Estera dała radę, nie było sensu pokonywać stromej ścieżki schodków. A już na pewno nie wdrapałaby się na stryszek. Co tam zalegało? Najwyraźniej nic ważnego, skoro obywatela się bez tego na tyle długo, że zdążyła zapomnieć bez czego. Parter domku z konieczności pełnił kilka funkcji: jadalni, spiżarki, sypialni i saloniku, w razie pojawienia się miłych gości. Choć od bardzo dawno mało kto ją odwiedzał, a od czasów Zaciemnienia nigdy bezinteresownie. Dlatego, jeżeli już ktoś zapukał do drzwi chaty, trwożliwie rozglądając się na boki, za próg go Estera nie wpuszczała. Klient czekał na zewnątrz, aż dostał, po co przyszedł, z reguły w zamian za pożywienie, i czym prędzej umykał chyłkiem.

Wiedząca westchnęła, przesuając zamglonym smutkiem spojrzeniem po swoim królestwie. Kominek, suszące się nad nim zioła, pyrkający nad ogniem kociołek, rząd półek, na których stały liczne puszki i słoiki, wąski kredens na kilka garnków, dwa wyszczerbione talerze, garść sztućców, prostokątny stół, para krzeseł... I fotel na biegunach, pięknie rzeźbiony zdolną ręką, jedyny ozdobny przedmiot w całej chacie. Ot i wszystko. Ale jej wystarczało. Zasłona z ciężkiej aksamitnej materii, też pamiętającej dużo lepsze czasy, kryła jeszcze niewielką wąską alkowę. Panował tu istic żołnierski porządek. Niewielkie okienko wpuszczało do środka nikły blask opuszczonego Srebrnego Braciszka, który padał na łóżko, zbite z prostych, mocnych dębowych desek i okryte wyleniałą niedźwiedzią skórą. Twarde to było posłanie, ale stare kości nie miękkości i wygody potrzebowały, nie do niej przywykły. Na półce u wezglowia stały świeca oraz dwa słoiczki z mazidłami przed spaniem i po obudzeniu. Estera smarowała nimi zwiotczającą skórę istic bezwiednie, w odwiecznym kobiecym rytuale, choć cienia próżności w tym już nie było. W rogu celi znajdowała się skrzynia na ubrania, obok przytuliła się niska, wąska ława, na której trzymała miskę i dzbanek z wodą. Skrzynię, ławę, podobnie jak łóżko i resztę mebli zrobił dla niej pewien cieśla, zastępując sośninę dębiną.

– Proste, ale solidne, przetrwa lata – zapewnił, nim odszedł. Na pożegnanie ofiarował Esterze bujany fotel, misternie gięty i rzeźbiony, dopieszczony miłością i niespełnionymi marzeniami. – Niech zastąpi ci moje ramiona, niech skrzypi śpiewnie, a ty mnie wspominaj bez żalu...

Czy żałowała? Czasami, gdy zew natury wypełniał jej łono i serce dojmującą tęsknotą, ale... Wiedzącej nie wolno kochać, zamknęła ten rozdział. Jednak... Estera zawahała się. Sentymentalna się zrobiła u schyłku drogi, dawno zamknięty rozdział sam się otwierał...

Mało brakowało, żeby wyrzekła się swojego Daru dla mężczyzny. Radosław, o duszy równie jasnej co jego imię, pragnął żony i kochanki, nie Wiedzącej. Pachniał

żywicą i pewnością siebie. Był cieślą o dłoniach jak bochny chleba, ale gdy jej dotykał, czynił to delikatniej niż pierwszy wiosenny deszcz. Krągłe półkule jej pełnych piersi idealnie mieściły się w tych dłoniach. Wciąż pamiętała kontrast między jego ogorzałą, twardą skórą a swoją własną – miękką i białą. Odszedł dawno temu, kiedy jeszcze dziarski Świtek rażno witał słońce na Wzgórzu Wschodów. Nim świat ogarnęły ciemności, zdążyła wyschnąć, skurczyć się i zbrązowieć pod palącymi promieniami niczym winogrono pozostawione na kiści, której nikt nie zerwał. Gdzieś głęboko ostała się kropla słodyczy, znacząca sny nostalgią za tym, co utraciła. Pisać o tym, o... nim... czy zachować wspomnienia dla siebie? Przeczucie nic jej nie mówiło. Widać marzenia zwykłej kobiety nie miały znaczenia. Kropka. Przynajmniej jedna.

Estera wróciła spojrzeniem i myślami do swojej kroniki.

*Dlatego piszę, wciąż szukam opuszczonego oczka w materii przeznaczenia. Liczę, że ktoś to przeczyta, córka, której nie mam i mieć nie mogę, ale wciąż na nią czekam. Piszę, choć palce wykrzywia mi artretyzm, a myśli i wspomnienia uciekają z głowy jak woda z przetaka. Piszę, bo może ktoś to przeczyta. Córka, na którą tak długo czekam. Powtarzam się. Nieważne. Oby znalazł się ktoś, kto mi to wytknie. Ktoś, kto po wiekach mroku i beznadziei będzie jeszcze umiał czytać...*

Estera znowu odłożyła pióro i wolnym, ostrożnym ruchem potarła pulsujące skronie. Miała wrażenie, że za chwilę pękną, jakby były ze szkła. Każdy, nawet najlżejszy wysiłek fizyczny, choćby taki jak pisanie, męczył jej ciało już po jednej klepsydrze. Każdy trud umysłowy opłacała potwornym bólem głowy, ale uparcie nie poddawała się. Zostało jej już tak niewiele czasu. Musiała skończyć swój dziennik, swoją spowiedź, swój testament...

\*\*\*

– Wciąż... nic? Kolejna doba mija i nic?! Dlaczego, pytam. Kto jest za to odpowiedzialny? – Ton Maury nie wróżył niczego dobrego winnemu. Gerd, ni to królik ni kot, syknął ostrzegawczo, obnażając długie na cal zęby. W ciągu blisko półtora wieku Zaciemnienia pojawiło się wiele nowych gatunków o wielkich łagodnych oczach i groźnych kłach, ale akurat Gerd był wynikiem celowej krzyżówki genetycznej. Inne zwierzęta – leśne, domowe, hodowlane, o dziwo, także mutanty czasów mroku – nie tolerowały Wielebnej. Jej siła woli musiała ustąpić wobec ich paranoicznego wręcz strachu. Nie ufały jej ani trochę; nie pomagały smakołyki, zwodnicza czułość głosu, udawana łagodność gestów. Nawet szczenięta nie dawały się zwieść i oswoić. Toteż by zdobyć ulubieńca, pani Zamku Snów musiała sama go sobie stworzyć. Patrząc później na małego królikota, od momentu narodzin łaknącego z nią kontaktu, Maurę ogarniała ponura satysfakcja na myśl, że w udawaniu boga jest dużo lepsza niż Symeon – niech go piekło pochłonie na wieki! Niemniej Gerd, podobnie jak jego poprzednicy, nie miał lekkiego życia u boku swej kapryśnej pani. Teraz drobna dłoń delikatnie głaskała miękkie futro, lecz za chwilę ostre paznokcie mogły wbić się w skórę. Dlatego przy każdej pieszczocie bezwiednie napinał mięśnie, czekając na karę za błąd, który popełnił ktoś inny.

– Więc? Słucham – powtórzyła Wielebna. – Kto dopuścił do tej skandalicznej ucieczki?

– Nie wiem, pani. I nie jest to istotne. Liczy się cel, nie droga do niego. – Pusta o imieniu Nela beznamiętnym tonem wyklepała formułkę, będącą jej przykazaniem i jedynym sensem istnienia.

Naga twarz kobiety nie wyrażała ani skruchy, ani strachu; po prostu nie wiedziała, jakim sposobem Obiekt wymknął się z sieci. Co nie znaczy, że gdyby знаła winowajcę i mogła zdradzić jego tożsamość, w jej oczach pojawiłby się błysk satysfakcji, radości, służalczości, ulgi czy czegokolwiek – pozostałyby tak samo

puste jak zwykle. Maura spojrzała na Nelę ze złością; konkretnie, na jej odbicie w lustrze.

Znajdowały się w najbardziej prywatnym buduarze Wielebnej, do którego zaledwie paru wybrańców miało zaszczyt wstępować. Tych potrafiących się dziwić za każdym razem zdumiewała surowość wystroju wnętrza pozbawionego okien oraz wszelkich ozdób, tak licznych w pozostałych komnatach zamku. Gość, pragnąc umknąć przed świdrującym wzrokiem gospodyni, zwyczajnie nie miał na czym oka zawiesić; żadnych obrazów, arrasów ani draperii na ścianach koloru kości słoniowej; żadnego dywanu lub choćby maty na zimnej podłodze z czarnego marmuru; żadnych rzeźb, kufrów ani mebli – poza szezlongiem, niskim taboretom i półokrągłym stolikiem z wielkim, owalnym lustrem. Zaś na stoliku... Tu z kolei oczopląsu można było dostać od mnogości flakonów, pudełek, szkatulek, tubek oraz buteleczek pełnych tajemnych mikstur i mazideł. Kontrast pomiędzy tym kosmetycznym bogactwem a ascetyczną surowością reszty pomieszczenia tym bardziej onieśmiał i zbijał z tropu. Ponadto umiejscowienie jedynek sprzętów pośrodku pokoju wymuszało skupienie uwagi właśnie na nich oraz na osobie Maury, siedzącej przy toaletce, tyłem do gościa i obserwującej go za pośrednictwem zwierciadła. Tyle że ta sceneria i poniżająca rozmowa poprzez lustro akurat na Neli nie robiła żadnego wrażenia.

– Czasami miałabym ochotę zwrócić ci to, co zabrałam – burknęła Maura, a jej palce przeczesaly futro Gerda z finezją grabi. Ciałkiem zwierzaka targnął spazmatyczny skurcz, od karku po koniuszek krótkiego ogona. Pusta ani drgnęła, nawet bezrzesną powieką nie mrugnęła, bez śladu strachu czy zmieszania wytrzymując lustrzane spojrzenie Wielebnej. – Tak... Choćby po to, żeby nie oglądać więcej tej przeklętej obojętności.

– To niemożliwe, pani. Włosy też mi nie odrosną. – Nela spokojnie skonstatowała fakt, że jest kompletnie łysa; pozbawiona owłosienia od czubka głowy po koniec dużego palca u nogi.

Mimo wprawy Maury w czyszczeniu przemiana wciąż stanowiła potworny szok dla organizmu, niczym nagły mróz warzący młode listki winorośli. Najgorzej reagowały włosy, które najpierw pokrywały się szronem siwizny, a potem wypadały, na całym absolutnie ciele. Zresztą mniejsza o włosy. Na co one komuś, komu już nie zależało ani na urodzie, ani na fryzurze? Po co brwi, skoro nigdy nie uniosą się w zdziwieniu, nie zmarszczą w grymasie ostrzeżenia? Po co rzęsy, które nie zatrzepoczą figlarnie ani nie zroszą się łzami? Wypranym z emocji Pustym na niczym nie zależało, poza zadaniem, do którego zostali powołani.

– Wiem, wiem – zgodziła się Maura – usunięcie osobowości jest nieodwracalne. I dobrze. Wolałabym nie stanąć twarzą w twarz z całą bandą Pustych, którzy za sprawą jakichś czarcich sztuczek wróciliby, hm... do siebie, że tak to ujmę. – Pani Zamku Snów uśmiechnęła się kącikiem ust. – Ale tobie poświęciłam dużo więcej czasu niż innym. Nie wyczyściłam cię tak po prostu ze wszystkiego, co było w tobie zbędne. Ty zajęłaś mi cały tydzień, cały długi, bardzo bolesny zmierzchotydzień... – Znowu zerknęła na brzydką, bo nieludzką w swej nagej obojętności twarz Neli.

Nic, żadnej reakcji, Maura mogła być z siebie dumna. Więc skąd irytacja i zniechęcenie? Bo Puści byli tacy przewidywalni! Również Nela, nad którą tyle się napracowała. Kobieta nie pamiętała potwornego bólu, jaki wiązał się z usuwaniem uczuć oraz indywidualnych wspomnień bez naruszenia inteligencji, wiedzy ogólnej i zdolności. Innych Pustych Wielebna traktowała bardziej miłosiernie. Wystarczył zabieg, trwający ledwie kilka klepsydr, by Maura uzyskała zadowolającego jej gusta śpiewaka, tkacza, kucharza, ochroniarza, złotnika. Oczywiście, im krótszy czas czyszczenia, tym precyzja mniejsza. Wzmacniając podstawową umiejętność Pustego, resztę jego życiowych funkcji ograniczała do minimum. W efekcie wojak

nieodczuwający bólu z reguły ginął od nadmiaru ran. Kucharz, gotujący wspaniałe potrawy, nierzadko sam zapominał o jedzeniu; a śpiewak tak długo ciągnął na jednym oddechu, że padał siny, wyśpiewując swoje ostatnie wysokie C. Cóż, mała strata. Gusta Maury zmieniały się równie często co nastroje. Gdy jedno naczynie się popsuło, znajdowała następne, by je napełnić podług aktualnego upodobania. Jednak Nela posiadała talent niezwykły, drugiego takiego na razie Wielebna nie spotkała – była świetnym analitykiem, lepszym niż komputer, owo wszechobecne niegdyś urządzenie. Umiała wyciągać poprawne wnioski z niepełnych, często sprzecznych danych. Braki wypełniała intuicją, czego żadna maszyna sprzed Zaciemnienia nie potrafiła. I jak dotąd Pusta o imieniu Nela nigdy swej pani nie zawiodła. Doradzała wyśmienicie, błyskawicznie oceniała sytuację i ludzi. Co nie znaczy, że Maura zawsze jej słuchała. Czasem dla kaprysu postępowała wbrew podpowiedziom bezgranicznie lojalnej niewolnicy. Wyczyszczenie wykluczało zdradę, knowania, celowe opóźnienia, zarazem – tu Maura westchnęła w duchu – wszelką inicjatywę własną. Puści nie rozwijali się, nie zmieniali. Byli doskonałymi rzemieślnikami, ocierającymi się o maestrię, ale pozbawionymi tchnienia artyzmu. Wyzuci z uczuć nie mogli wspiąć się na wyżyny swego kunsztu, bo miast weny kierowała nimi Maura. Trudno, coś za coś. Nawet wyjątkowo zdolna Nela bez rozkazu nie zrobiłaby nic i skoro twierdziła, że nie wie, jak doszło do zgubienia śladu – nie wiedziała. Na pewno też nie maczała w tym palców. Ale wcześniej czy później zdobędzie tę wiedzę, przetworzy, by znowu pochwycić trop. Była niczym wierny pies; nie musiała rozumieć, czemu szuka, liczyło się samo szukanie. Dlatego Maurze zdarzało się puszczać mimo uszu jej opinie w kwestiach innych niż tropienie. Lubiała dla zabawy wybierać krętą, wyboistą ścieżkę, by zobaczyć, cóż z tego wyniknie.

Jednak głównym, nadrzędnym zadaniem Neli pozostawało znalezienie Dziecka i tutaj kończyła się nonszalancja Maury. Tej podróży nie urozmaicała przypadkowymi niespodziankami. Liczył się cel, nie droga. Katastrofa nie była więc

przypadkiem, choć Nela ostrzegła, że wprowadzenie do równania nowej zmiennej mocno namiesza we wzorze. Zaryzykowała, bo musiała się upewnić. Nie szukała byle dziecka, to właściwe powinno przetrwać, no i przetrwało. Niestety, uczucie niepewności nie zmalowało. Coś niepokoiło Maurę, dręczyło coraz bardziej – przykre podejrzenie, że ktoś gdzieś popełnił niewybaczalny błąd w założeniu. Dużo poważniejszy niż wymknięcie się rybki z misternie tkanej sieci...

– Po prostu znajdź tego bachora! – warknęła, odwracając się twarzą do Pustej. Znudziło się jej zerkanie w lustro. Podstępna finezja takiego przesłuchania traciła sens wobec obojętności rozmówcy. – Jeżeli faktycznie dzieciak przeżył wypadek.

– Na pewno – potwierdziła Nela. – Choć nie powinna. Jednak tropiciele nie znaleźli ciała wśród innych. Zjawili się klepsydrę po katastrofie. Wcześniejsza obecność mogłaby zrodzić podejrzenia. Nadto dym i płomienie musiały nieco opaść, by umożliwić przeszukanie szczątków i ewentualną identyfikację. Zdążyli w porę, by przegnać zdziczałą psią watahę, która ściągnęła na miejsce, najwyraźniej zwabiona swądem palonego mięsa.

– Czyli nic jej nie zezarło, świetnie – podsumowała Maura. – Ale gdzie jest, skoro przeżyła? Może schowała się, wpełzła w jakąś dziurę? Przeszukaliście okolicę?

– Od razu, pani. Bardzo dokładnie, w promieniu kilku staj. Z drugiej strony nie mogła oddalić się samodzielnie więcej niż na staję. To tylko dziecko.

– A jednak oddaliła się i zniknęła! Od trzech zmierzchodni nie możecie jej znaleźć, choć niby rozszerzyliście krąg poszukiwań. Co, wyparowała?! – wrzasnęła Maura, zacieśniając uchwyt na grzbiecie Gerda. Królikot syknął i zeszywniał, bardziej ze strachu niż bólu. Możliwość odpowiedzi agresją na agresję lub choćby ucieczki z kolan opiekunki została mu odebrana. Maura łaskawie nie wyczyściła zwierzęcego umysłu z odczuwania elementarnych emocji, jednak wdrukowanie wykluczało nawet cień buntu. Ale przynajmniej coś czuł; Nela nie miała tyle szczęście, a może właśnie miała... Tęsknota za tym co utraciła, a czego nie



pamiętała, doprowadziłaby ją do szaleństwa. Poza tym tylko jako Pustej udało jej się przetrwać tyle lat u boku Maury. Brak reakcji był w obecności Wielebnej najbezpieczniejszą reakcją.

– Nie – odparła Nela – nie wyparowała. Ktoś jej musiał pomóc w ucieczce. Taka opcja wydaje się najbardziej logiczna i prawdopodobna.

– Prawdopodobieństwo graniczy z pewnością?

– Tak.

– Więc znajdź tych nieproszonych pomocników. Nim gówniara znowu gdzieś przepadnie. Oby wciąż z nimi była... Nie stój tak, nie gap się! Może tym razem osobiście ruszysz swoje bezwłose dupsko, zamiast wyřęczać się bandą nieudolnych szpicli?

– Są najlepsi. Sama ich wybrałam, ty wyczyściłaś, wzmacniając wrodzone umiejętności. Skoro zawiedli, zdarzyło się coś nieprzewidywalnego.

– Graniczącego z cudem? – zakpiła Maura.

– Tak.

Ta prosta, beznamiętna odpowiedź doprowadziła pytającą do wybuchu szału. Zerwała się ze stołka, strącając z kolan Gerda, i zaczęła tupać małymi bosymi stopami po marmurowej posadzce. Owo „tak” oznaczało bowiem, że była bliska uwieńczenia sukcesem długich poszukiwań. Maura, acz nie wahała się ich wykorzystywać, gardziła przesadami, które w ociemniałym świecie zastąpiły prawa i przykazania. Jednak ufała znakom, nauczyła się nie lekceważyć z pozoru niewytłumaczalnych omenów. A dwa zdarzenie bliskie cudu – przeżycie Dziecka i późniejsze jego tajemnicze zniknięcie – to był znak jak cholera!

\*\*\*

– Co to ja chciałam jeszcze powiedzieć, napisać...? – Diament, jedyny słuchacz i towarzysz Estery, zamiauczał gardłowo w odpowiedzi. – Aha!

*Jestem Estera. Córka Eleonory, wnuczka Euzebii, prawnuczka Eulalii, potomkini Ewy. Mam Dar widzenia. Przeklęty Dar, który skazał mnie na długowieczność, nieomylność i samotność. Widzę koniec drogi, ale nie umiem z niej zawrócić nawet żuka, co dopiero człowieka. Wiem, co się zdarzy, ale ci, którym się zdarzy, słuchają mnie tylko wtedy, gdy im to odpowiada. Świat ogarnął cień. Skąd się wziął? Od zarania tu był. Po prostu wypelzł z zakamarków, w których się krył. Mrok i światło. Piekło i niebo. Dobro i zło. Każdy nosi w sobie jedno i drugie. Wciąż toczy się walka, wciąż decydujemy, przechylając szalę zwycięstwa wte lub wewte... Czemu tak trudno to zrozumieć? Czemu winimy wszystkich dookoła za własne błędy? Wiele się zmieniło, ale pycha w ludzkich sercach pozostała ta sama. Kiedyś mnie to bolało, czułam się taka bezradna... Kiedyś byłam taka młoda.*

*Teraz chcę tylko spokoju. Jestem zmęczona, jestem starym człowiekiem. Gorzej, jestem starą kobietą. Tak starą, że rysy mojej twarzy zatarły się wśród zmarszczek. Tak starą, że prawie nic nie ważę; moje kości są jak kości ptaka – puste w środku, a skóra przezroczysta i cienka jak pergamin. Tak starą, że dawno temu inni okazywali mi szacunek bez względu na to, co mówiłam czy robiłam. Mogłam pleść, co mi ślina na język przyniosła, bredzić trzy po trzy, niewyraźnie mamrotać – oni tym pilniej nadstawiali ucha. Mogłam robić, co mi wpadło do głowy, a ciało dało radę wykonać: chodzić boso po szyszkach, tańczyć nago na polanie, układać pasjanse z kamieni i kawałków kory, wróżyć z bobków zająca – patrzyli z powagą i mądrze kiwali brodami. Dlaczego? Bo już wtedy byłam stara; tak stara, że zapomniałam, ile mam lat, choć plecy garbiły mi się pod ich ciężarem.*

*A jednak nadal więcej we mnie życia niż w młodych. Powiadam, więcej! Nawet teraz, gdy szacunek zastąpiło strachliwe zdziwienie, że wciąż drepczę po świecie, choć najstarsi z najstarszych nie pamiętają, kiedy zjawiłam się i zamieszkałam w domu mojej matki, w chacie na Wiedźmowej Polanie. Zresztą dziadowie najstarszych też nie pamiętali; a ja sama tyle wymyśliłam legend na swój temat, że*

*mogłabym się w nich pogubić, gdyby nie prawda spisana w tej oto księdze. Jedna jedyna jest prawda o mnie, tak jak jedna jedyna jest moja nadzieja. To ona trzyma mnie na coraz słabszych ptasich nogach; ona każe mi się budzić co ranka, choć łatwiej byłoby zasnąć i wreszcie odpocząć, ale jeszcze nie teraz, nie teraz... Jeszcze nie nadszedł czas. Będę wiedziała, gdy nadejdzie...*

**Pi**óro wypadło ze zeszytniałych palców Estery.

– Koniec na dzisiaj – powiedziała chrapliwym głosem. – Nie dam rady napisać słowa więcej, nie wymyślę nawet pół sensownego zdania. I tak rozgadałam się aż przykro. Te ozdobne porównania, przenośnie... Aż mdło się robi. No, co ty...? Gdzie się walisz?

Kot o antracytowej sierści rozłożył się w poprzek notatek.

– Jasne, lepiej niż ja wiesz, że koniec z pisaniem. Nie mam tylko pojęcia co z posiłkiem. Zapasy się skończyły dwa dni temu, zostały mi tylko ziółka, które raczej nie tuczą, wręcz przeciwnie, taka kruszyna na przykład...

– Maaaahaaah?!... maamaakha!...? – Kocur wydał z siebie elektryzujące, przeciągłe dźwięki.

– Wiem, że ich nie tkniesz. Mysz...? Chyba żartujesz? Nie zjem myszy. Za nic! Na szczęście, bez obrazy, prędzej ja odmłodnieję, niż ty złowisz mysz. Gdybyś nie był taki uparty, pomogłabym ci, ale... – kobieta wzruszyła ramionami – twój szósty żywot dobiega końca, a jednak wciąż nie dajesz się przekonać do moich wzmacniających specyfików. I dlatego znowu przyjdzie nam pościć, póki dobrzy ludzie nie podrzucą czegoś w zamian za wróżbę lub lecznicze zioła. Niestety, ostatnio przychodzą coraz rzadziej. Coraz ich mniej...

Estera zamyśliła się. Kocur zmrużył bursztynowe oczy i zamruczał pocieszająco. Wyczuwał niepokój swojej towarzyszki. Czekala już tak długo, miała prawo być znużona cierpliwym wypatrywaniem, ale nie dlatego zapadła się w sobie,

pograżyła w głębokim, niewesołym zamyśleniu. Nie o siebie się martwiła, nie o swój los była niespokojna. Nie należała do strachliwych, których w Ciemnych Czasach było coraz więcej. Coraz więcej...

– Masz rację, Diament, boją się. – Kobieta westchnęła. – Boją się złych uroków i ciemności, którą rozprasza jeno księżyc i nikły, zimny blask odległych gwiazd, kto wie, może równie martwych jak nasze słońce... Boją się rzeki, groźniejszej niż kiedyś. Przeraza ich przeprawa przez dziurawy most, którego nikt już nie naprawia, może nie umie... Boru też się boją; bardziej mrocznego, odkąd rośliny... świecą. Prawdę powiedziawszy, boją się wszystkiego, mnie też. Duch w nich upadł, a od kiedy Maura ogłosiła się niełaskawie nam panującą władczynią, boją się własnego cienia. Trudno się dziwić, gdy nie wiadomo, co z niego wypełźnie... Ile to już lat, od kiedy ta uzurpatorka rozpanoszyła się na Zamku Snów...? Będzie blisko sto dwadzieścia starych років. Sporo. Poprzedni samozwańcy też łaskawością nie grzeszyli, pogardzali prostaczkami, ale przynajmniej ich nie śledzili. Nieważne, co lud robi, co mówi, czy z głodu zdycha, byle daniny płacił. Maura zaś interesuje się i to bardzo. Ma swój plan, swoją wizję, której nikomu nie pozwoli zniszczyć. Wszędzie wysyła czujne oczy i uszy. Ludzie zdążyli zapomnieć, jak to jest śmiać się pełną piersią bez obawy, że ktoś doniesie. Choćby o nowo powstałym dowcipie na temat wójta. Poprzedni miał nieco oleju w głowie i litości w sercu, ale Dobromir Maczek nie wdał się w ojca. Chcąc się przypochlebić Wielbnej Maurze, wyklął mnie jako wiedźmę, zakazał nawet uzdrawiania, szczył jeden. Pamiętam, jak biegał w brudnej koszulinie i nazywał mnie Dobrą Babką, ale... było, minęło... – Jej głos lekko zadrzał. Udawała, że ze starości. Chrzęknęła. – Mam to w zielonej rzyci, jak mawiał Świtek, ten stary świntuch. Brakuje mi jego poczucia humoru. Uśmiełby się na wieść, że żona wójta przysyła tu co pełnię służkę po kremy odmładzające, a jego własna kochanka znowu zażyczyła sobie mikstury na wzmocnienie sił witalnych. Przecież nie dla siebie! Widać wójt, stary cap, nie daje rady w łóżu. A ja, no cóż,

wciąż się przydaje. Dzięki temu nie wykurzyli mnie jeszcze ogniem i widłami. Ledwie widzę na oczy, lampka zgasła...

Estera cichym zaklęciem, podobnym do dmuchnięcia, zapaliła knot, choć ogień na kominku wciąż się tlił. Kocur udał, że nie zauważył zbytecznej sztuczki. Żeby sięgnąć po szczapkę, odpalić ją od żaru, stara kobieta musiałaby wstać, podejść do ognia, schylić się... Za dużo zachodu. W końcu prócz niego nikt nie patrzył. Czasami nie odróżniał myszy od nornicy, ale na węż nie narzekał. Nie wyczuł intruza, czającego się za szybą, podsłuchującego i podglądającego, by potem donosem wkupić się w łaski wójta. Wiedząca mogła więc pozwolić sobie na odrobinę wygody i lenistwa. Jako kot rozumiał to doskonale. Tym bardziej że zaraz potem wyciągnęła rękę i powolnymi, usypiającymi ruchami zaczęła głaskać jego czarne futro... Czyli na dzisiejszy obiad będą smutne myśli i pocieszające pieszczoty. Westchnął, z typowo kocim fatalizmem godząc się z losem. Bywało gorzej...

Pięć żywotów, mało dobrych wspomnień. Klatka i ostry trujący zapach. Najstarszy, najbardziej odporny z gromady doświadczalnych zwierząt, a jednak nie przeżył kolejnego testu. Rozpędzony powóz, końskie kopyta tratujące jego ciało na miazgę za drugim razem. Złowróżbne warczenie i szeroko rozwarte szczęki – w nich zakończył trzecie wcielenie. Jeden nieostrożny krok i skręcony kark urwały żywot czwarty. Piątego nawet nie posmakował. Wraz z całym miotem trafił do worka, a potem do lodowatej rzeki. Zamarzł, nim się utopił.

Z niepokojem witał świat za szóstym razem. Znowu było mu zimno. Obok wyczuwał śmierć – sztywną i obojętną, jak ciało, do którego tulił się bezradnie. Wygłodzona, poraniona i schorowana kotka oddała swe życie, rodząc ledwie trójkę kociąt. Tylko jedno, po pierwszym bolesnym hańsieniu powietrza, miało dość sił na następny oddech.

– No, przynajmniej ten się rusza... – wymruczał ktoś z ulgą. – Sierota, ale przeżyje. Już dobrze, mały, zostaniesz ze mną, zaopiekujemy się sobą nawzajem.

Miły, pełen cierpliwości głos dobrze wróżył. Gdy zaczął jako tako widzieć, potwierdziło się, co już wcześniej podejrzewał: jego matka, znaczy opiekunka, nie była kotem, tylko człowiekiem. Jakoś się tym nie zmartwił. O tyle dziwne, że w trakcie poprzednich wcieleń nie zyskał dobrych doświadczeń w kontaktach z ludźmi. Czym ta kobieta różniła od reszty swego bezwzględnego gatunku? Niedługo potem tajemnica się wyjaśniła. Diament, wylizując swoje futerko i obserwując, jak miska z mlekiem wolno opada na podłogę koło kominka, skonstatował z zadowoleniem, że wreszcie trafił, gdzie jego miejsce – do chatki czarownicy.

\*\*\*

Rosa zmienił pozycję, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę, bo prawy kulas zaczął już trochę cierpnąć. Miał prawo; długo siedział w kucki, dumając na dachu Mydła. Gdy dojrzał na tyle, by dogodzić samicy i zabić człowieka, opuścił rodzinne gniazdo. Już wcześniej miał po dziurki w nosie matczynych bajek dla małych skrzatów, jej smutnych oczu i żałośnie pohukującego głosu, sączącego mu do uszu dawno przebrzmiałe prawdy. Gdyby pozwolił, Śnieżka wychowałaby go na pełnego skrupułów trzęsidupę. Skrupuły... To słowo przywołało wspomnienie, na które lędźwie Rosy natychmiast zareagowały. Zraniona brew zaswedziała i do żądry dołączyło nieznośne, bo świadczące o słabości, poczucie winy. Zdusił je w zarodku, gorzkawosłodkie wspomnienie też odegnał. Żadnych skrupułów.

Nie miał ich, gdy bez ceregieli wyrzucił liczną rodzinę Myszków z upatrzonej siedziby. Znajdowała się w strategicznym miejscu, na skraju Dużego Placu, wystarczająco daleko od Szkarłatnej Olchy, ale nadal niemal w centrum Siedliszcza. Wnukowi Boba Patriarchy, nawet smarkatemu, drobni mysi bracia nie ośmielili się przeciwstawić. Tak zyskał nowy dom. Tylko dla siebie. Niektórzy nosem na takie lokum kręcili, bo dziupli czy nory w niczym nie przypominało, ale... ich zdanie... jej

zdanie... nie miało już znaczenia. A Mydło sprawdziło się. Mógł tu spać i biesiadować; na tylnym siedzeniu pokładać się z dwoma samicami naraz; na przednich przyjmować kompanów; w pojemnych schowkach, od frontu i zadka, trzymać prywatne zapasy. Miejsca było dość, aż za dużo dla jednego skrzata.

Wkrótce to się zmieni; w pierwszą pełnię po Szczodrych Godach drugi raz przybędą swatowie z odległej Kniei. Tym razem już z narzeczoną, której ani nie widział, ani nie wybierał, bo w tym mariażu z rozsądku jej wygląd nie miał znaczenia. Byle płodna była i posłuszna. Wilczarze sami zdecydują, która z ich młodych, silnych, niezameżnych cór najlepiej spełni to zadanie. I kiedy. Też im zależało na przetrwaniu, poza tym kierowali się jakąś swoją wilczą przepowiednią. Rosa nie wnikał w szczegóły; najważniejsze, że obrót temu nazad dwóch rosnących i, co ważne, obcych skrzatów pojawiło się w trakcie Święta Godów. Akuratnie, choć przecież nie znali wzajemnie swych obyczajów. Przybyli właśnie wtedy, bo tak im kazała owa wróżba. Przedstawili propozycję, którą Rosa, po ustaleniu warunków ewentualnego rozvodu, przyjął. To im wystarczyło, nie zawracali sobie głowy detalami w stylu, gdzie zamieszka oblubienica. Zresztą, jak wyglądało Mydło tak wyglądało, ale z racji na pozycję młodego przywódcy było to najbardziej prestiżowe lokum w Siedliszczu.

Może poza norą starego zgređa... ale tam nigdy by się nie przeniósł! Zwłaszcza ze szczeniętami. Nawet gdyby dziadyga uczynił mu wreszcie tę łaskę i zasnął snem wiecznym. Jama skryta wśród białawych korzeni Szkarłatnej Olchy cuchnęła rozkładem; smrodem niemającym nic wspólnego z naturalnym procesem przerabiania tego co martwe na ściółkę i podłoże dla nowych istnień. Od tego odoru śmierci za życia szcęcina się Rosie na masywnym karku jeżyła, toteż nie pozostawał w legowisku dziada dłużej, niż musiał. Rozmowy ze stetryczalym przywódcą ograniczał do minimum; sensu w nich już nie widział żadnego. Bob Prawodawca, w którym skrzaty niegdyś znalazły oparcie – tego ramolowi nie mógł odmówić –

teraz głównie bredził bez ładu i składu. Nieraz kusiło młodego skrzata, by przegnać dziadygę w głąb Boru, niechby tam szczeł, niechby go coś zeżarło i wszelki ślad po nim zaginał! Tyle że mogłoby się to okazać równie krótkowzrocznym posunięciem co wypędzenie Świtka, ostatniego z rodu skrzatów, członkowie którego budzili słońce. To właśnie sam Bob najpierw przywłaszczył sobie magiczny czasomierz Świtka, a potem przepędził starego skrzata. Sądził w swej pysze, iż może przejąć jego rolę na Wzgórzu Wschodów! No i spotkała ich wszystkich kara za ten brak poszanowania dla odwiecznych praw i tradycji. Słońce nie pojawiło się na niebie, świat ogarnął mrok, zaś Świtek stał się legendą. Jakoś jego nikt nie winił, że słońce zgasło! Odszedł, przepadł w Borze, złamany, pokonany, wyklęty, a jednak pozostał w pamięci skrzatów jako ostatni wierny strażnik tego co najważniejsze, najjaśniejsze, najprawdziwsze... To reszta skrzatów dała plamę, wypierając się swych korzeni, szczając na obowiązki, dając się skusić ludzkiej łatwiznie. Żarli ich odpadki, upijali się ich śmierdzącym zacierem, stroili się w ich szmaty, ściągali do Boru ich śmieci, z opiekunów stając się pasożytami lasu. Hańba im za to i sromota! No i Bob się wstydził. Po swojemu jednak walczył z poczuciem winy. Samotność i przygniatający ciężar odpowiedzialności nie osłabiły jego buty. Większość tradycji, których skrzaty się wyparły, przepadła; więc Bob stworzył własne Prawa. Zagubiona, przerażona banda jego pobratymców czepiła się ich niczym pijany płotu lub, jakby rzekła jego matka, „jak jedynej jasnej drogi pośród chaosu ciemności”. Dlatego Rosa nie mógł, mimo wielkiej ochoty, pozbyć się starego przywódcy. Inne skrzaty wciąż darzyły go wdzięcznością i podszytym bojaźnią szacunkiem, może tylko z przyzwyczajenia, ale wolał nie ryzykować buntu. Dość miał problemów z fikającą młodzieżą. Lepiej poczekać, aż staruch sam wykituje pod swą przeklętą Olchą – oby uszła wraz z nim! Potężnego drzewa o szarej korze i liściach koloru krwi też nie znosił. Brzydził się go i lękał. Najchętniej ściałby kolosa i spalił. Tylko wtedy niewiele by się różnił od ludzi, którzy niszczyli wszystko, czego nie rozumieli.



Pogarda do rodu ludzkiego nie zaślepiała Rosy. Głupotą byłoby ich lekceważyć. Niektórzy budzili w nim nawet coś na kształt mrocznego podziwu. Jak choćby dawno zmarli budowniczo Mydła, które – jak twierdził Bob, gdy jeszcze w tym co gadał, tkwił cień sensu – służyło im do przemieszczania się z jednego punktu do drugiego, bez użycia nóg, łap czy racic. Czary? Kto ich tam wie... W każdym razie ściany i dach Mydła wykonane były z owego tajemniczego tworzywa, plajstiku, którego rdza, pleśń ni korniki się nie imaly. Jedyne ogień dałby mu radę. Wiedział, bo wrzucił kiedyś do ogniska plajstikowy bukłak. Śnieżka wysłała go z nim po wodę do źródła, a ponieważ nie chciał jej słuchać ani tym bardziej usługiwać – cisnął go ze złością w ogień. Stopił się w nim, skurczył, dym przy tym wydzielając gęsty, duszący i wielce smrodliwy. W durny łeb za to oberwał od ojca. Nie dlatego, że polecenie matki zlekceważył, ale że tym smrodem mógł niepowołanych intruzów do Siedliszcza ściągnąć. Wtedy Rob miał jeszcze jak trzeba poukładane w czerepie, dopiero później mu się tam poprzestawiało. Wkrótce po Ceremonii Nadania, na której jego syn wybrał sobie imię i rosomaka za Towarzysza, Rob przemianował się na Derwisza i wyniósł w głąb Boru, bo naraz zaczęła go mierzić geneza powstania Siedliszcza. Jak prawily skrzacie baśnie, wyrosło ono na obrzeżach, na gruzach Parkingu Leśnego. Bór dawno wchłonał go w swe łono, otoczył niepamięcią, tak że zniknął z map i wspomnień ludzi, ale wcześniej zostawiali na Parkingu swe dziwne wehikuły, by ruszać w las na jakiś... spacer! Samopas łązić po lesie? Bez obstawy? Zgroza! Ale Bór był wtedy inny, ludzie byli inni, wszystko było inne. A może nie...? Może tylko czasy mroku wydobyły z każdej żywej istoty i każdego miejsca wszystko co najgorsze?

Na tych niewesołych rozmyślaniach i wspomnieniach upływał Rosie zmierzcho dzień, gdy warta przyprowadziła szpiegów.

– Złapaliśmy ich, jak ten tutaj obszczywał Stary Buk. Smarkata była z nim.

## Rozdział II Strategie

Osobnik, któremu zdjęto worek z głowy, chciwie rozglądał się wokół siebie. Mało szyi sobie nie zwichnął, tak głową kręcił. Mimo strachu, ciekaw był niezmiernie; wiele przeżył i widział, jednak wnętrza Boru jeszcze nigdy nie oglądał. Żadnego z przedstawicieli leśnych skrzatów też dotąd nie miał okazji poznać, a tu trafił w sam środek ich siedziby. I poczuł coś w rodzaju rozczarowania, a na pewno zaskoczenia. Spodziewał się, że nie odróżni skrzacich legowisk od kęp krzaków, zaś samych mieszkańców wypatrzy, o ile pozwolą się zauważyć. Powinni wtapiać się w tło lasu niczymając w swą miedzę, mysz w miotłę, kuropatwa w zboże. Inaczej jak by przetrwali? Widać jakoś im się udało, choć Siedliszcze na pierwszy rzut oka przypominało, wyglądało, no, jak...

„To ci dopiero para – pomyślał zde gustowany Rosa. – Ludzki pomiot i chyba skrzat, ale wygolone toto do gołej skóry, a wystrojone i wymalowane niczym młoda samica w Święto Godów!” Czekał, aż dziwak się przedstawi, ale ten wciąż strzelał ślepiami na prawo i lewo.

„Śmietnik i tyle” – uznał obcy. Na swój sposób piękny – strojny w srebrną poświatę księżycowej pełni, ozdobiony czerwonymi piegami łuny, bijącej od niewielkich ognisk, łuczyw i lampek, owity fosforyzującymi pnączami – ale jednak śmietnik. Zasłonili mu oczy. Sądził więc, że dla dodatkowego zmylenia śladów prowadzą go długą, krętą drogą, na której wciąż się potykał. Teraz zwątpił. Ścieżki w Siedliszczu faktycznie wiły się jak wąż w konwulsjach, kończąc się nagle i zaczynając znienacka. Zwalone drzewa leżały, gdzie padły, wokół piętrzyły się kupy zeschniętych liści, igliwia i gałęzi. Chaszczo m pozwalano plenić się bez żadnej kontroli, toteż w jednych miejscach panował gąszcz, gdzie indziej świeciły placki łysej ziemi, której nawet szara trawa nie kryła. Pośrodku największej takiej łysiny, przypuszczalnie placu zebrania, wznosiło się potężne drzewo o czerwonych liściach,

z czarnym okiem jamy skrytej wśród biało połyskujących, grubych korzeni. Pewnie znajdowała się tam nora jakiegoś ważnego skrzata, być może ich przywódcy. Reszta stada, z tego co mógł dojrzeć – a spostrzegawczy był wyjątkowo – wykazała się sporą pomysłowością tudzież praktycznością, tworząc legowiska, gdzie się dało i z czego się dało. W dziuplach i rozwidleniach pni; w hamakach, zwieszających się niczym dzbany z wyższych gałęzi; w jamach wykopanych wprost w ziemi; w wykrotach, przykrytych korą, plecionkami z trawy i... – tu obserwator zdziwił się niepomiarowo – folią oraz eternitem; w skórzanych namiotach; w budkach skleconych ze szmat, gałęzi oraz części – tu znowu szeroko otworzył wielkie, przywykłe do ciemności oczy – samochodów. W ogóle wszędzie wokół poniewierały się dzieła ludzkich rąk, między którymi skrzaty poruszały się z wprawą i swoistym wdziękiem. Hm, może więc w tym chaosie kryła się metoda? Obcy nie był pewien i gapił się z rosnącym zmieszaniem na zardzewiałe puszki, omszałe butelki, zbutwiałe szmaty oraz elementy starodawnych urządzeń, służące celom dalekim od pierwotnego przeznaczenia. Jak choćby płaska żelazna misa, stojąca nieopodal. Płonęło w niej ognisko. Wystarczająco jasno, by nabrał absolutnej pewności co do jednego: skrzat, przed którego obliczem go postawiono, siedział na dachu plastikowego auta. Oryginalny tron wyglądał niczym zabawka w porównaniu z wielkimi metalowymi wozami, jakie zdarzało mu się widywać w miastach. Wciąż wywoływały lękliwy podziw wśród motłochu. Nawet gdy ciągnęły je zwykłe konie; paliwo było obecnie cenniejsze niż platyna, zaś zepsuty silnik umiał naprawić jeden na stu mistrzów z Cechu Mechaników.

Autko z Siedliszcza, choć zachowane niemal w całości, respektu nie wzbudzało. Co innego ten, który na nim siedział. Młody samiec, liczący sobie jakieś trzydzieści pięć obrotów, przewiercał go spojrzeniem na wylot, aż ciarki szły po krzyżu. Szrama nad okiem przecinała krzaczastą brew, unosząc ją lekko i nadając surowej twarzy cyniczny wyraz. Młody nie oznaczało wszak niedoświadczoney, nie w czasach mroku,

w których nawet dzieci potrafiły być niebezpieczne. I znowu obserwator zwątpił. Czyżby pomylił się w ocenie i nie w jamie pod wielkim drzewem mieszkał najważniejszy skrzat w Siedliszczu? Czyżby ten tutaj był faktycznym przywódcą? Albo, co gorsza, jego żądnym władzy następcą? Obcy myślał gorączkowo nad taktyką. Jak wyjść obronną ręką z całej sytuacji, jak obrócić ją na swoją korzyść? Żartem, wodolejstwem, pochlebstwem, wcale nieudawanym lękiem...?

Rosa miał dosyć czekania. Już nazbyt długo intruz igrał z jego cierpliwością.

– No...? – mruknął. Przecięta brew uniosła się jeszcze wyżej, nagląco, w sposób wykluczający dalszą zwłokę.

– Jestem ten, który słyszy skrzyp kłosów i głos kamieni. Jestem ten, który wahał się z niejednej drogi, z niejednego pieca chleb jadł i niejednym miejskim bruk wycierał...! – zaczął pompatycznie więzień, bo trudno czuć się gościem, gdy sztylet z kości wbija się w plecy. – Za drobną opłatą śpiewam, tańczę, bawię gawieź, stąd mój kolorowy strój, wesółka twarz i czapka z piórkiem. Za miskę stawy i kubek piwa plotę koniom grzywy i przynoszę szczęście miłym gospodarzom. Za pogardę i złe słowo szczam do mleka, a pierworodnej brzuch przyprawiam...

– Może krócej, knypku, i same fakty, bez przechwałek – przerwał mu Rosa. – Czego tu szukasz i co to za bachor?

– Szukam azylu, schronienia, bracie skrzacie. Zwą mnie Pośpiech, bo pośpiesznie znikam z miejsc, gdzie mnie nie chcą. Być może mierzi cię moje gładkie oblicze i nazbyt ludzki strój, ale pozwala ukryć się w tłumie. Niestety, czasami nadgorliwi wyznawcy czystości rasy dopatrzą się skrzacich rysów mimo przebrania karła. Wtedy rozpływam się wraz z mgłą. A tę biedną kruszynę znalazłem trzy zmierzchodoby temu, w szczerym polu, kilkadziesiąt staj od żelaznej drogi. Ponoć nieszczęście wielkie się tam stało, wszyscy zginęli, tak gadał woźnica, cośmy go spotkali wczoraj. Tragedia okropna. Zgrzyt, huk, pożoga! Nikt nie przeżył. Chyba... że ona, niebożatko. Choć jak dotarła od miejsca katastrofy tak daleko, zraniona

i sama, nie mam pojęcia. Skrzydła by jej chyba wyrosnąć musiały. Więc może komuś się zgubiła, z wozu spadła, albo... – Pośpiech zakręcił się niespokojnie w miejscu, za co strażnik skarcił go szturchnięciem nożem pod żebro – aaa!...albo może ktoś ją porwał, może sam Czarnobóg w ludzkiej skórze z domu ją wykradł, ogniem naznaczył i potem w polu porzucił na zatracenie. Różni, bracia skrzaty, a wielce nikczemni osobnicy po ciemnych pustkowiach się włóczą. W każdym razie zabrałem bidulę i czym prędzej nogi za pas wzięliśmy, by drugiego spotkania z czartem nie prowokować. Poszła, nawet chętnie, bez gadania. Grzeczne dziecko. Na ból się nie skarżyła. Myślałem, wesprzemy się w wędrówce, różniej będzie, łatwiej. Skoro woźnica ulitował się i za darmo podwiózł nas do Sporów, sądziłem, że inni także łaskawszym okiem spojrzą, a my skorzystamy. Szczodre Gody zaczynają się niebawem i Wielki Jarmark, na który ludziska z daleka ściągają. Łudziłem się, że chętniej rzucają grosik, widząc jej kalectwo... – polny skrzat uniósł delikatnie dłoń dziewczynki, obwiązaną brudną szmatą – bo pierońsko mocno się poparzyła. Opatrzyłem, jak umiałem. Niestety bąble zaczęły pękać i wydzielać niepokojącą woń. Moim zdaniem do zniesienia, ale i tak wygnali nas ze wsi, bojąc się zarazy. Bo wtedy Jarmark by się nie odbył. Pewnie tylko ze względu na małą nie poszczuto nas psami, kamieniami nie pożegnano. I znowu woźnica, widać jakiś prawdziwie dobry człek, szepnął, byśmy poszli drogą przez most i poczekali pod wielkim bukiem. Tośmy czekali, wtedy wy, bracia skrzaty, zjawiliście się! Niech dzięki będą Pani Lasu, która oby żyła wiecznie!

Rosa spochmurniał. Pani Lasu zapomniała o nich wieki temu, gdy słońce raczyło jeszcze wstawać co świt. Byli zdani na siebie, na własny osąd i rozsądek. Dlatego mierzył uważnym spojrzeniem zarówno wymalowanego cudaka, któremu róż spływał ze spoczonej ze strachu twarzy, jak i smarkatą, która rozglądała się dokoła z ciekawością, ale bez lęku. Właśnie to wydało mu się najbardziej podejrzane.

– Ty! – zwrócił się do dziewczynki, celując w nią palcem. – Gadaj coś za jedna.

Nie zareagowała, jakby nie zrozumiała polecenia. Gapiała się na niego zielonymi ślepiami, uśmiechała się i ani drgnęła, gdy wyszczerzył groźnie zęby.

– Odpowiadaj, gówniaro, albo obić każę! – warknął.

Witka mało nie wyskoczyła z bezpiecznego ukrycia, by rzucić się na Rosę z pazurami. Nie pierwszy raz poharatałaby mu głowę, o nie, do dziś miał od niej bliznę nad okiem. „I dobrze mu tak, gliście, za moją krzywdę! – myślała, przyczajona za pnem, w pobliżu misy ognistej, lecz poza kręgiem rzucanego przez nią blasku. – Szkoda, że ślepiec nie stracił, że cały nie sparszywił, sukinkot jeden!” Młoda samica nie spodziewała się po Rosie niczego dobrego, ale żeby straszyć... dziecko?! Co mu biedne szczenię zawiniło? W czym zagrażało? Nerwowo przeczesywała długą kitę, nie wiedząc, co począć. Lisi spryt podpowiadał cierpliwość, instynkt samozachowawczy kazał zwalczyć popędliwość i chęć zemsty. Ale tym razem nie one pchały ją do przodu. Witkę ogarnęło zupełnie nowe uczucie, którego natury nie знаła, nie umiała nazwać. Wiedziała tylko, że jest mocniejsze niż wszystko inne, silniejsze nawet od nienawiści, jaką darzyła młodego przywódcę. Szczerze i gorąco, acz z daleka. Reszcie stada nie odpuszczała, ale jemu wołała schodzić z drogi. Teraz zaś miała ochotę wpaść tam, w sam środek, zabrać dziewczynkę sprzed nosa Rosy i chronić ją choćby za cenę życia.

Zresztą, jakież to cudne bytowanie wiodła w Siedliszczu? Spleśniałej szyszki niewarte, puste jak łupina suchego orzecha! A jednak tkwiła tu, odepchnięta, ignorowana, bo... bo nie miała dokąd pójść. Z braku celu, z obawy przed nieznanym trzymała się stada, choć nie czuła się już jedną z nich. I nagle, niczym odpowiedź na niezadane pytanie, odzew na milczące modły, pojawiła się ta mała. Było w niej coś takiego... Zraniona dłoń aż się prosiła o porządny opatrunek, wiadomo, ale nie tylko o to chodziło. Znękane serce rudej samicy zabiło żywiej na widok nierówno przyciętych włosów koloru kasztana i tych niesamowitych patrzyłek, lśniących

niczym zielone klejnoty w chudej, nieładnej gębusi. Zaś do reszty rozbroiła ją i wzięła w niewolę owa dziwna, ponad skrzacie pojęcie, mieszkanka dziecięcej bezradności i ufności. Dziewczynkę też ktoś skrzywdził, a przecież wciąż potrafiła się uśmiechać... Łysy, kolorowy cudak i jego cudaczna gadka, z której Witka słowa nie uroniła, choć połowy nie rozumiała – pasował tu jak pięść do nosa. Czuł się nietego, gadulstwo tego nie ukryło. Ale jego mała, milcząca towarzysza... Wlazła między skrzaty jak gdyby nic. W mroczną twarz Boru patrzyła bez śladu obawy. Wredna gęba Rosy i jego pogroźki też nie zrobiły na dziewczynce wrażenia. Nie bała się go, a... powinna!

Yyy, właśnie jego najbardziej! Był zdolny do wszystkiego. To pewne jak brak słońca na niebie. Jeżeli uzna ją za zagrożenie, nie okaże cienia litości ni skrupułów. Nie mogła mu na to pozwolić, nie tym razem. Wciąż trzymając się cienia, Witka zaczęła przesuwać się bliżej Mydła, wolno i bezszelestnie. W odpowiedniej chwili wyskoczy i zagarnie dziewczynkę. Chudziutka była, malutka, pół głowy niższa od swego wyszczekanego przewodnika, pewnikiem nie cięższa niż dorodna gęś; Witka dźwigała takie zdobycze bez trudu. Przerzuci małą przez ramię i umknie w Bór. Niech próbują ją tam złapać albo znaleźć, ofermy, co do własnego zadka nie trafią bez pierdnięcia! Gdzie się tej leniwej bandzie mierzyć z mistrzynią tropienia i zacierania śladów. Nie bez powodu już jako raczkujące szczenię wybrała lisa za Towarzysza. Reszta jej licznej rodzinki, pochodzącej od sławetnego Witalisa, wołała, by w drodze towarzyszyły im kuny, borsuki, nawet susły. Jej ojciec wybrał łasicę. Ostatnim, który zbratał się z lisem był Rudy, niesławny złodziejaszek Wiernego Druha. Może dlatego jego potomkowie nie kwapili się, by iść w jego ślady. Ona jednak...

Czuły nos Witki wychwycił znajomy zapach. Za późno. Zbyt się skupiła na scenie rozgrywającej się przed nią i zapomniała o pilnowaniu tyłów. Pycha bywa zgubna, przechwałki osłabiają czujność.

– Czego tu? Szpiegujesz dla synalka? To niżej upadłaś niż ja! – syknęła, nie obracając się, by ani na chwilę nie stracić z oczu dziewczynki.

– Nie rób głupot – szepnęła Śnieżka. Podeszła bliżej. Stała na wyciągnięcie ręki, wyraźnie oświetlona łuną bijącą z ogniska. Siwa, wysuszona, przedwcześnie postarzała, wytrawiona niczym rzemień palącą ją od środka zgryzotą. Też słuchała i też patrzyła przed siebie, niemal przyklejona wzrokiem do twarzy Rosy. Jedną miłość miała w życiu, jedyną, największą i boleśnie nieodwzajemnioną. Niechętnie przeniosła spojrzenie na dziewczynkę. Nie podobała się jej, choćby dlatego że zaniepokoiła Rosę. Dziwny był ów nienaturalny, biorąc pod uwagę okoliczności, spokój smarkuli. Jednak nie musiał oznaczyć niczego podejrzanego. Zwyczajnie, durne szczenię, nieświadome grozy sytuacji. Tak czy siak, sowi instynkt doradzał rozagę. Ale najpierw trzeba poskromić Witkę, nim znowu z czymś wyskoczy i bardziej rozdrażni młodego przywódcę. – Nie kombinuj, nie wychylaj się. Mało masz kłopotów?

– Przez kogo je mam? Przez twojego wypierdka! Więc nie mądruj się, tylko go powstrzymaj. Bo jak zrobi coś dziewczynce, nie ręczę za siebie. Niech tylko ją tknie, a przysięgam, że nie zaśnie spokojnie, bo mu gały wydrapię, ledwie powieki przymknie! Już dawno powinnam to zrobić.

– Naprawdę sądzisz, że on sypia spokojnie...? Troszczy się o stado. Widzę, jak się gryzie. Czasem wcale nie śpi, bo koszmary nie dają. Ty zapewne też w nich jesteś... – Śnieżka westchnęła. – Postąpił, jak postąpił, ale naszych Praw nie złamał... Gdybyś tylko była bardziej... – urwała. Tłumacząc syna, zapuściła się w niebezpieczne rejony. Witka zwróciła się w jej stronę. Skulona w pozie ataku, stuliła uszy, obnażyła zęby... – Ani się waż, bo nie pomogę dzieciakowi! – huknęła szybko Śnieżka. O dziwo, tym niecodziennym szantażem skutecznie usadziła wściekłą młódkę, gotową rzucić się jej do gardła. Witka prychnęła niezadowolona,



ale wyprostowała się nieznacznie i wróciła do obserwacji grupki zebranej wokół Mydła.

Smarkula wciąż milczała, choć zlął z dachu i wziął się pod boki. Lewa brew drgała lekko. Zły znak, na widok którego każde ze szczeniąt z Siedliszcza posikałoby się ze strachu. Dziewczynka tylko stała i uśmiechała się radośnie. Rosa górował nad nią wzrostem. Był wysokim, potężnym skrzatem, przy tym zwinnym i szybkim. Jego silne, szerokie ramiona w mgnieniu oka duszę by z bachora wydusiły, co dopiero głos. Jednak na razie nie wprowadzał grózb użycia siły w czyn; żadna sztuka potrząsać takim chuchrem. Wolał samą swoją posturą i samczym autorytetem skłonić małą do zeznań. Prestiż większy. Więc stali, mierząc się spojrzeniami. Zielone było zaciekawione. Czarne – wrogie.

„Uff – odetchnęła Śnieżka – o mały pazur”. Mogły kontynuować rozmowę jak wcześniej, nie patrząc na siebie. Pełną emocji i wzajemnych pretensji, zarazem cichą, niewiele różniącą się od szelestu liści, nocnych pisków i pohukiwań, czy szmeru strumyka. Pośpiech znowu by zwątpił. Leśne skrzaty, gdy chciały, umiały wtapiać się w tło Boru. Zwłaszcza te dwie skrzatki: lisia siostra i siwa potomkini sowych Myślółowców. Nie pierwszy raz starsza broniła się przed agresją młodszej.

Za swoją niską pozycję niezdatnej, na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, rozgoryczona Witka winiła całe stado, łącznie z własną rodziną, mszcząc się podstępnie i złośliwie. Potrafiła ugryźć znienacka albo chlasnąć odchyloną gałęzią, gdy mało czujny skrzat podszedł za blisko. Nie wahała się rzucać czym popadnie, choćby kamieniem, jeżeli nie spodobała jej się czyjaś mina albo uwaga. Więc pilnowali się pobratymcy, unikając Witki, co tym bardziej ją prowokowało. Ostracyzm boli dotkliwiej niż otwarta drwina. Śnieżka dobrze to wiedziała. Syn niezbyt się z nią liczył, z rzadka słuchał, ale nawet wtedy, czy... słyszał? Ostrzegala

przecież, że z rudzielcem będą same problemy. Imię i Towarzysza wybrała sobie, ledwo nauczyła się mówić, a ponieważ najbliższa Ceremonia Nadania przypadała, gdy miała sześć obrotów, starszyzna nie pozwoliła jej do niej przystąpić. Tradycja – sięgająca czasów jeszcze sprzed Zaciemnienia – nakazywała, by kandydat miał ukończone co najmniej siedem obrotów. Witka obraziła się i odpuściła sobie następną uroczystość. Skoro nie mogła być najmłodszym skrzatem oficjalnie przyjętym do stada, została najstarszym, biorąc udział w Ceremonii Nadania Imienia jako dorosła dwudziestoletnia samica. Krnąbrna suczka! A zaraz potem przyjęła swatów. Chyba dla kaprysu! Albo na złość Rosie. Tyle na nią czekał i co...? Przydługie dzieciństwo sprawiło, że zachowywała się irracjonalnie. W jednej chwili słuchała bajek i bawiła się ze skrzacętami, w następnej gnała na Porębę bić drwali. Jako jedyna samica w gronie wzburzonej młodzieży! Żadna szczytna idea jej nie przyświecała, żadna tam troska o Starodrzew, po prostu lubiła rozrabiać. Wciąż igrała z niebezpieczeństwem, w Siedliszczu też. Nie zdawała sobie sprawy, głupia młódka, jak bardzo kusila лихо. Nie powinna drażnić Rosy... Potem należało z pokorą przyjąć swój los. Nie chciała! Uparta, mściwa lisica, która zapadła w sny i pamięć jej syna jak cierń. Ale i ją dopadło coś, czego się nie spodziewała. Coś, co można wykorzystać, by okiełznać ją raz a porządnie.

Zerknęła na warującą Witkę. Denerwowała się – skubała swoją gęstą kite i przygryzła wargę. Przecież nie o siebie się bała. Nie potrzebowała stada, by przeżyć w Borze, mogła odejść. Rob Derwisz, jej szalony mąż, tak zrobił, wybrał życie banity. I niechby trzymał się tej decyzji, bo jak wracał, to wyłącznie mącił. Niechby lepiej nosa z ostępów nie wychylał! Niestety, wraz z odejściem Witki, stado straciłoby niechętną, ale najsprawniejszą łowczynię i tropicielkę, przy okazji także zdolną zielarkę. Sama Wiedząca mogłaby ją wziąć na uczennicę, gdyby taki niestosowny pomysł przyszedł jej do starczej głowy. Więc dobrze, bardzo dobrze, że Witka, skrzywdzona w swym mniemaniu okrutnie, wciąż pozostawała w Siedliszczu.

Widać nienawiść to za słaby pretekst, by z własnej woli skazywać się na samotność. Tymczasem niespodziewanie znalazł się powód, by została z ochotą. Chudy, brzydki i raczej nierozgarnięty, liczący jakieś cztery stopy wzrostu, ale uwiąże młodą samicę skuteczniej niż wątpliwa lojalność i stadna natura skrzatów.

– Chyba ci zależy na tej znajdzie, co, Witka? Jedna Pani Lasu wie czemu. Ale skoro na kimś wreszcie ci zależy, może lepiej zrozumiesz moje racje...

– W dupie mam twoje racje! – parsknęła ruda samica. – Rosę z jego niby wielką troską o stado jeszcze głębiej! Jak taki wrażliwy, niech zainteresuje się ręką małej. Stąd czuję, że cudak nie kłamał, zalatuje przykro. To nie zakażenie, dziwnie jakoś wonieje, ale tak czy siak trzeba opatrzyć. Obiecałaś pomóc. Wstaw się za nią, dotrzyмай słowa. Wtedy będziemy kwita, przestaniesz się oglądać przez ramię, czy gdzieś się nie czaje. Daruję ci syna padalca. Jemu nie daruję nigdy, ale kaprawe ślepie zachowa.

– To idę – mruknęła Śnieżka. – Ty tu czekaj. Dopiero jak dam ci znak, pokażesz się. Rozumiesz? Dopiero wtedy.

– Co mam nie kumać, jak kumam. Idźże, ino chyżo, ja tu sobie grzecznie poczekam. Nic innego, kuźwa, nie robię, tylko czekam. Teraz przynajmniej wiem na co.

Taktyka Rosy nie poskutkowała. Miał wrażenie, że ostrze jego wzroku odbija się od zielonych tęczówek jak od lśniącej tarczy. Nic w nich nie widział – prócz własnego odbicia. Może dziewczynka nie miała nic do ukrycia, a może...? Nawet do Boru dochodziły słuchy o Pustych. O ludziach przerobionych na chodzące kukły przez wiedźmę z Zamku Snów, na lunatyków pogrążonych w niekończącym się koszmarze braku woli, uczuć, wspomnień... Niby żywe istoty, a jednak martwe.

Więc czemu czasem im zazdrościł? Pamięć – za spokój, za wygodną uczuciową pustkę...? Czy to wysoka cena?

– Ros. – Matka dotknęła nieśmiało ramienia syna.

– Nie nazywaj mnie tak. – Wzruszył barkiem, strącając jej dłoń.

Tylko jedna osoba w całym Borze mogła zwracać się do niego w ten sposób, ale nie chciała. Już nie. Rosss... Cichy, łagodny syk wypełził z przeszłości i owinał go, spętał... Znowu, jak dwa obroty temu. Przestraszył się wtedy tej niewoli i zrobił, co zrobił. Nie! Nie, Ros!!! – powrócił pełen protestu krzyk, jak świst wierzbowej różgi. Wówczas nie posłuchał, ale i tak go dosięgnął. Chlasnął czas na pół, na pełne obietnicy przedtem i dręczące potem. Jednak ten drugi głos, wabiący, delikatny jak tchnienie wiatru, biczował go znacznie boleśniej. Ciął duszę na kawałki, gdy tylko zamykał oczy.

Teraz były otwarte i rozgoryczone. Z wielu powodów. Matka też miała w tym swój udział. Nie dała mu rodzeństwa, choć aż piątkę potomstwa powiła; chorowitego, słabowitego, które nawet trzech obrotów nie przetrwało. Nim zdążył poznać braci i siostry, obrócili się w popiół na Kurhanie Przodków. Wiatr rozwiął ich prochy po Borze, stali się pożywką dla nowego życia, własnego nawet nie posmakowawszy. Ocalał tylko on, najsilniejszy, choć najmłodszy. Hołubiony, wytęskniony, karmiony baśniami i matczynymi nadziejami – przetrwał. Jednak nie czuł do Śnieżki ni wdzięczności, ni szacunku; jedynie litość, zaprawioną wyrzutem, że skazała go na samotny los jedynka. Była jego matką, ale przypuszczalnie także ciotką i kuzynką. Szyszki przeciw orzechom, że jej pierwszy miot też był owocem lędźwi Boba – teścia i ojca zarazem. Podwójnie przez to przeklęty! Swego czasu Bob, dominujący samiec ufny w siłę swojego nasienia, nie odpuszczał żadnej samicy, nawet z najbliższej rodziny. Zapładnianie traktował jak rodzaj posłannictwa. Stąd Prawo Pierwszej Nocy. Czy Śnieżka próbowała się przeciwstawić, jak choćby ta harda Witka? Nie. Pokornie przyjęła swaty od przyrodniego brata, a potem pozwalała napełniać swe łono życiem skazanym na zagładę jeszcze przed narodzeniem. Jemu udało się jakimś cudem. Niemniej Rosa, potomek Bobera, Stróża Bobrowych Żeremi,

powoli zaczął domyślać się, co zżerało jego ród od środka. Stąd zgoda na ofertę swatów z odległej Kniei Wilków. Tamtejsza samica, choćby szpetna jak borołak, była obca. Siedliszcze potrzebowało świeżej krwi, nowych silnych genów. Witka też by się nadała. Z sobie wiadomych powodów Bob nie tykał samic z rodziny swego kamrata Rudego. Ale akurat, jak na złość, przekorna lisica miała w kształtnej rzyci dobro stada. Bardziej dbała o swoją piękną rudą kitę niż o przetrwanie skrzatów z Boru!

– Rosa, proszę... – Śnieżka nie ustępowała.

– Czego? – burknął, a gdy gwałtownie zamrugała powiekami, poczuł irytację. Na nią i na siebie. Postarał się złagodzić ton. – O co chodzi, matko?

– Małą trzeba opatrzyć, jej ręka musowo zalatuje. Bez względu na to, co twierdzi cudak, nie wiadomo, jak było. Znalazł ją albo porwał, pogonili ich ze Sporów albo nie. A jeżeli dobry człeczyna to w istocie szpieg wójta? Może sprowadzić nam na łeb kłopoty. Niby teraz nie chcą dzieciaka, ale potem się o niego upomną. Ludzie są równie mściwi co niekonsekwentni, zaś szpicli wśród nich więcej niż pszczelaków w barci. Lepiej nie ryzykować. Wyleczmy ją. Potem zdecydujesz, co z nią zrobić. Wygnać znajdę zawsze zdążysz, byle... żywą.

– Właśnie, właśnie, otóż to, bracie skrzacie! – wtrącił się Pośpiech, z trudem znoszący milczenie. Nadto tu nie tylko o rękę czy całą mizerną osobę znajdy się rozchodziło. – Słusznie prawi twa szanowna matka, Roso, oby Pani Lasu w silnych, zdrowych wnukach jej tę mądrość wynagrodziła. Rozumiem także jej przezorną ostrożność wobec obcych, ale nie kłamię. Obym tak trupem padł, jeżeli łzę! Znalazłem dziewczynkę w polu, a ze Sporów pogonili nas aż przykro. Bez kawałka chleba, bez chwili na wytchnienie, ach! – rozczulił się nad sobą Pośpiech, bo i tutaj nie czuł się komfortowo. Otaczający ich zewsząd Bór przyprawiał go o klaustrofobię, a podejrzliwość leśnych skrzatów dodatkowo tremowała. Jednak na tymczasowy azyl Siedliszcze świetnie się nadawało. Kiszki mu marsza grały i gdyby nie

zdenerwowanie zasnąłby na stojąco. W końcu od za przedwczoraj był na nogach i wtedy też ostatni raz coś jadł: żałośnie małe jabłko. – Nie ugościli nas miło ludzie, oj nie! Z drugiej wszak strony, mogło być dużo gorzej. Jak wspomniałem, kamieniami nas nie obrzucili, kijami nie obili. Pewnie ze względu na bidulkę, też już o tym nadmieniałem. Więc może lepiej ją zatrzymać? Na wszelki wypadek. I mnie przy okazji. Niech skrzat skrzatowi nie będzie... człowiekiem! Za kęs stawy oraz kupkę liści do spania odwdzięczę się pieśnią, tańcem i opowieściami z dalekiego świata. Choć jakaś mała, wolna norka lepiej by się zdała i raczej całą miskę niż kęs, bo mi żołądek do krzyża przyrósł. Rozważ tę propozycję, bracie skrzacie, mądry w swej młodości przywódco...

– Stul... dziób... – wycedził Rosa, nie racząc nawet spojrzeć na Pośpiecha. Jego długiej, ozdobnej perory też słuchał piąte przez dziesiąte. Myślał.

Po raz pierwszy od dawna Śnieżka zasłużyła na uznanie syna. Słabowita na ciele, zwykle drażniąco uległa, z ustami pełnymi nużących bajd i frazesów, a jednak go zaskoczyła. Dobrze radziła. Widać jej siwa głowa kryła niekiepski umysł, z którego czasami umiała skorzystać. Być może właśnie po niej odziedziczył umiejętność przewidywania najgorszego, by zabezpieczać się na wszelki wypadek. Sam powinien wziąć pod uwagę, że podłość ludzka nie zna barier. Skoncentrował się na szczeniarczy, zapominając o reszcie jej wrednego gatunku. Pusta? Ta smarkula?! Raczej durna z natury, nie wskutek magii. Po jakie licho Maurze taka srajdka, która jeszcze nic nie umiała? Na skrzaty też Wielebna patrzyła z wysoka, o ile w ogóle zarejestrowała ich obecność w Borze. Co innego ludzie ze Sporów... Zwłaszcza wójt Maczek ze swoją zawsze chętną do pogromu bandą – tym byle pretekst by wystarczył. Więc pochopne pozbycie się znajdy mogło okazać się niewybaczalnym błędem, a tych Rosa starał się unikać.

– Masz rację, zajmijcie się nią, ziół uwarzcie – zarządził. – Która tam najlepsza...?

– No, przecież wiesz... – Śnieżka spłoszona spuściła wzrok.

Pewnie, że wiedział. Nie tylko w leczeniu Witka była najlepsza.

– Zgodzi się pomóc czy trzeba lisicę zmusić? – Uniósł brew.

– Nie! Przymuszona mogłaby narobić więcej szkody niż pożytku. Na szczęście, Pani Lasu musiała jej dotknąć. Właśnie z nią rozmawiałam i zdaje się lubić znajdę. W końcu straciła własne młode, a drugiego... raczej mieć... nie będzie... – Stara skrzatka z trudem o tym mówiła, choć całe stado znało wyrok losu, czyniący z Witki niezdatną.

– Nie będzie – potwierdził stanowczo Rosa. – Ale niech się przyda w inny sposób. Jak ją już podleczy, porozmawiam sobie ze smarkatą. Wtedy się postanowi...

– Uśmiechnął się nieprzyjemnie do dziewczynki. Odpowiedziała tym samym, jakby go przedrzeźniała. Wciąż zdawała się nie rozumieć, gdzie trafiła i czyje losy właśnie się ważą. Za mała była, albo za głupia. Śnieżkę ogarnął cień współczucia.

– To chyba nic nie da. Ta rozmowa. Ona... – zawahała się ponownie siwa skrzatka – ona nie jest zwyczajna, taka jak inne dzieci, przypomina mi moją starszą siostrę, która topiła się w rzece. Uratowali ją, ale zbyt późno, bo już nigdy nie była taka jak przedtem. Straciła też instynkt. Kiedyś wyszła z Boru i nie wróciła. Podobno dała się złapać ludziom, wolę nie myśleć, co z nią zrobili... – Śnieżka aż się wzdrygnęła.

– Teraz zaś nam wlało w ręce ich szczenię. Cwane albo durne. Pożyjemy, zobaczymy – podsumował Rosa. – A co poczniemy z bratem skrzatem? – Wskazał kciukiem przestępującego z nogi na nogę Pośpiecha.

– Lepiej go pogonić. Za dużo gada. – Tu Śnieżka nie miała wątpliwości.

Gwałtowna gestykulacja łysego cudaka i gorączkowe zapewnienia, że potrafi milczeć jak grób, nawet całą klepsydrę! – rozbawiły Rosę. Chyba pozwoli mu odsapnąć w Siedliszczu, błazna tu jeszcze nie mieli...

– Dajcie mu coś jeść i wskażcie wolne legowisko. Okażmy się łaskawsi i gościnniejsi niż ludzie, przynajmniej do czasu.

Śnieżka kiwnęła głową, starając się nie okazać rozczarowania. Cóż, krótka chwila porozumienia minęła i syn znowu ją lekceważył. Grunt, że osiągnęła swój cel; znajda zostanie.

Gdy tylko Rosa odwrócił się, gestem dłoni przyzywała rudzielca, przyczajonego w mroku. W kilku susach Witka dopadła dziewczynki. Coś do niej zasyczała śpiewnie, dziecko roześmiało się cicho, wyciągnęło rączki... Rosa miękko wskoczył na dach Mydła. Nim usadowił się tam wygodnie, Witka umknęła. Więc nie widział, jak sprawnie drobne nóżki oplotły smukłą talię, jak mocno zdrowa dłoń wczepiła się w rudą kitę, ani tym bardziej nie miał pojęcia o sile wzruszenia, jaka złapała młodą samicę za gardło. Kiedy zerknął w oświetlony ogniem tunel ścieżki, dostrzegł na jego końcu jedynie miedziany refleks, odbity od klamry, którą lisia siostra spinała włosy.

A Witka biegła. Biegła chyżo do nory, unosząc swój słodki ciężar, byle dalej od Rosy i jego knowań. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że od pewnych spraw uciec się nie da.

\*\*\*

– Czyli znalazła się. W pewnym sensie... – Maura odepchnęła się stopami od ściany ogromnej, okrągłej wanny wpuszczonej w marmurową podłogę. Wielebna lubowała się w marmurach. Płynęła wolno na plecach, a jej nagie piersi unosiły się na powierzchni wody niczym dwie mlecznobiałe meduzy.

– Tak – odparła Nela, której nie sprawiało różnicy, czy pani przyjmuje ją w sali kolumnowej, bibliotece, prywatnym buduarze czy w łaźni. Nawet jeżeli wiedziała, że rozmowa prowadzona przy wannie rozmiarów małego basenu może skończyć się czymś więcej niż kropką. – Według uzyskanych informacji najpierw trafiła do Sporów. Jej chora dłoń wystraszyła wieśniaków. Woleli nie czekać, czy to zaraźliwe



– relacjonowała. – Obecnie od pięciu zmierzchni Obiekt znajduje się w Borze, przypuszczalnie w Siedliszczu leśnych skrzatów. Według mojej wiedzy żaden człowiek dotąd go nie oglądał. Albo nie przeżył, by się tym pochwalić.

– Hm... – Maura zadumała się. – Któż pojmie skrzaty... Dorosłych ludzi ledwie tolerują na obrzeżach, ale w czym by im miało zagrażać chrome ludzkie szczenię...? Z drugiej strony potrzebne im ono jak dziura w moście. Złe porównanie – zreflektowała się. – Im gorszy most, tym mniej ludzi po nim łązi. W każdym razie nadal nie rozumiem, czemu wieśniacy przegnali ją ze Sporów. Mnie się powinni bać bardziej niż zarazy czy dziwnych obcych. Nie dotarło do kmiotków, że poszukuję dziecka, swojej zagubionej dalekiej... krewniaczki? – Wielebna uśmiechnęła się. Rozbawiło ją, iż w tym grubo szytym kłamstwie mogło kryć się ziarno prawdy.

– Teoretycznie dotarło. Herold odczytał na głos obwieszczenie, nim przybił je do drzwi karczmy. W praktyce, słowa są ulotne, a w Sporach mało kto umie czytać. To raz. Ułomna żebraczka nie pasowała im na twoją krewną, pani, nawet odległą. To dwa. Zagubione oznacza samo, bez opieki. Dziewczynka była natomiast w towarzystwie. To trzy. „Jakiegoś gadatliwego, wypacykowanego, cudacznie ubranego karła”, że przytoczę zasłyszaną przez Ucho opinię woźnicy, który ich podwiózł, a potem poradził zwrócić się o pomoc do skrzatów. Właśnie od tego przypadkowo napotkanego człowieka trefniś dowiedział się o katastrofie kolejowej, gdyż dziewczynkę podobno znalazł wiele wiorst od miejsca wypadku.

– Podobno? A może kurdupel zwyczajnie rżnie głupa! – prychnęła Maura, podpływając do Neli, która stała przy brzegu wanny.

– Nie wykluczam takiej opcji. Pojawienie się tego osobnika wprowadziło kolejną nieznaną zmienną do równania. W efekcie Obiekt trafił do Boru.

– Właśnie! – zirytowała się Maura. – Ludzki bachor i karzeł. Też człowiek, acz z genetyczną wadą, chyba... że taki z niego karzeł jak ze mnie dobra wróżka!

Skrzatom ciemność musiałaby się na mózg rzucić, by wpuszczać najgorszych wrogów do Siedliszcza! Powinni byli ich zatłuc na wszelki wypadek.

– Tego również nie wykluczam – zgodziła się Nela.

– A ja wykluczam! Kategorycznie. Ona żyje, bo... ja tak chcę, bo... bo czułabym, gdyby coś jej się stało! – Zanurkowała pod wodę, jakby tam szukała bardziej sensownych argumentów, mogących przekonać chłodny umysł Pustej. Wypląnęła, parszając kroplami wody na cienką przypominającą sutannę suknię Neli. – Skoro przeżyła katastrofę, przeżyje i skrzaty.

– Tego nie wiem, pani. Ale potwierdzam, że wychodzi z opresji w sposób przeczący logice. W momencie wykolejenia się pociągu była zdana wyłącznie na samą siebie. Karzeł nie kłamał. Nie mogło go być w pobliżu. Wymknięcie się dwóch osób z naszej sieci uważam za całkowicie nieprawdopodobne. Pozostaje niewiadomą, jak dziewczynka dotarła sama tak daleko, na dodatek poparzona. Ale liczył się...

– Tak, tak... liczy się cel nie droga. Sama ci to wczytałam do łba! – Zniecierpliwiona Wielebna kilka razy uderzyła dłońmi w wodę, znowu opryskując długą, dopasowaną suknię Neli. Mokre płótno przyłgnęło do kształtnych nóg Pustej. Maura oblizwała się leciutko. – Rozbierz się i wchodź – rozkazała. – Nie przejmuj się, że zmoczysz włosy.

Chybiona złośliwość, której pani Zamku Snów sobie nie darowała. Nela zdjęła ubranie i ześlizgnęła się do basenu. Stała spokojnie, gdy Maura otarła się o nią, potem naparła całym ciałem, rozplaszczając swoje piersi na jej brzuchu. Niezbyt wysoka Wielebna sięgała Pustej zaledwie do dekoltu. Drobne zęby, wyszczerzone w drapieżnym uśmiechu, znalazły się niebezpiecznie blisko bezbronnej nagiej skóry. Wyczyszczenie, któremu została poddana Nela, nie wykluczało odczuwania bólu oraz czysto fizycznej przyjemności. Szkopuł w tym, że ani bała się pierwszego, ani czekała na drugie. Po prostu zupełnie odruchowo jęknęła, gdy Maura ukąsiła ją w pierś. Irytujące, że tylko w takich chwilach, Wielebna czuła się prawdziwą

władczynią swej niewolnicy. Krótko, bo za okrzykiem bólu nie szedł protest, a za jękiem rozkoszy pragnienie powtórki. Jakież to było frustrujące! Pewnie, że mogła mieć całe zastępy kochanek i kochanków, gotowych na każde skinienie. Nuda... Emocjonalna pustka ich pieszczot, sztucznie wyhodowana uległość i pozorna dominacja, bo na żądanie, coraz częściej napawały ją wstrętem, nie satysfakcją. Maura odsunęła się od Neli i znowu uderzyła dłońmi w wodę. Tym razem siebie przywołała do porządku. Nie czas i miejsce na uzalenie się nad swoim losem. Nie teraz, gdy cel wieloletnich poszukiwań był w zasięgu. W pewnym sensie.

– Zastanawiające, że trafiła właśnie do skrzatów. Znamienne, rzecz by można. – Wielebna wróciła do tonu neutralnej pogawędki. – Tam dzieciaka nie wyśledzimy. Wiemy o Siedliszczu od dziesięcioleci, a wciąż nie znamy jego położenia. Bór to obcy ludziom świat. Nie pasują do niego, toteż żaden tropiciel nie przechytry skrzata na jego własnym terenie. Niech no który wetknie nos do lasu, knypki mu go przytną. Wysyłanie za dzieciakiem żołnierzy albo rębajłów wójta też mija się z celem. Zabłądzą, gdy zapuszczą się głębiej, i nim minie zmierzchodzień coś posili się ich ścierwem. Więc mamy problem. Prędzej słońce na nowo zaświeci, niż my odnajdziemy smarkulę w tym przeklętym Borze. – Maura uśmiechnęła się. Bo czyż to nie zabawne, że dzieciak był o krok, a zarazem bardziej nieosiągalny niż kiedykolwiek? Po prostu boki zrywać.

– Dochodzi do potyczek i samosądów na Porębie – przypomniała Pusta. – Mogłabyś pani nakazać ludziom wójta, by złapanego skrzata zachowali przy życiu. Wyczyścisz go, zyskując oczy i uszy w Borze. Do stada, tak odmienionego, raczej nie przyjmą Pustego z powrotem, ale przynajmniej zdradzi, gdzie znajduje się Siedliszcze.

Maura spojrzała na kobietę zdeglustowana. Zanurkowała, przepłynęła wannę pod wodą i wynurzyła się kilka metrów od Neli. Stąd, również samej sobie, wytłumaczyła:

– Mówisz o skrzatach, a to piekielnie odporny gatunek. Uparty i monolityczny, jak skała. Dusza, umysł i wola zrosnięte w jedno, nie do oddzielenia. Ich nie da się wyczyścić. Owszem, próbowałam, z ciekawości, dawno temu. Trafiła mi się młoda samica, trochę przymulona, więc powinno pójść łatwiej. Nic z tego, była bezrozumna, a jednak nieugięta, stawiała opór do końca. Jeżeli coś ci to wyjaśni, konała długo, ale zachowała swoje obfite owłosienie. Więc tyle w kwestii czyszczenia skrzatów. Domyślam się, że ów woźnica to nie nasz człowiek?

– Nie. – Nela zadrżała z zimna. Prócz marmurów Maura lubowała się w chłodnych kąpielach. Działały odmładzająco na skórę i ożywczo na umysł, pod warunkiem że się pływało w trakcie. Pusta wciąż stała bez ruchu.

– Wójta? – dociekała Wielebna.

– Nic o tym nie wiem.

– Maczek też raczej nie miał o niczym pojęcia albo nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Inaczej przyprowadziłby mi dzieciaka obwiązanego wstążeczką, licząc na moją wdzięczność. Jednak ten woźnica... Przypadkiem ich spotkał, przypadkiem okazał litość, podwożąc do Sporów, a potem przypadkiem wysłał na Rozstaje. Za dużo tych przypadków. I czemu akurat do skrzatów ich skierował? Podejrzenie sprytne jak na takiego ciemnego kmiotka... No chyba że jest... – Maura skrzywiła się – dobrym człowiekiem, bezinteresownie dobrym, co zakrawa na kolejny cud. Mdło się od nich robi.

– Moja w...wiedza nie wyklucza istnienia dobrych ludzi. Jedna z...z definicji mówi, iż mądrość to...to umiejętność czynienia d...dobra – wyrecytowała Nela, dzwoniąc zębami. – Więc postępując d...dobrze, woźnica za...zarazem postąpił mądrze.

– Szczam na taką mądrość! Dla kogo, kuźwa, dobrze? Nie dla mnie! W Borze się zaszyła, szczeniara! Niby jak mam ją stamtąd wyciągnąć, do ciężkiej cholery?! –

Wybuch nagłej złości był równie typowy dla pani Zamków Snów jak jej wcześniejszy zwodniczy spokój. – No, słucham! Co twoja wiedza na to?!

Nela milczała. Nie z powodu szczękających coraz mocniej zębów. Mimo swych analitycznych talentów posiadała za mało danych, by braki wypełnić intuicją tropiciela. O skrzatach wiedziała tyle, że istnieją, wywołując w ludziach wrogość, lęk i chęć eksterminacji, ale sama dotąd żadnego nie spotkała, tym bardziej nie przesłuchiwała. Bór i jego leśni mieszkańcy stanowili dla niej kompletną terra incognita. Najwięcej informacji o naturze i obyczajach skrzatów uzyskała przed chwilą, z ust samej Maury, i nie zdążyła ich jeszcze przetrwać. Zresztą nie widziała takiej potrzeby. Cel był w zasięgu, miejsce pobytu określone, czyli wykonała zadanie, do którego została stworzona. Imperatyw poszukiwania zniknął. Nela była tylko psem gończym. Jej pani – faktyczną łowczynią.

Do Wielebnej też z wolna zaczęły docierać konsekwencje tak precyzyjnego, nastawionego na konkretny cel wyczyszczenia Pustej.

– Nie wiesz, jak wyciągnąć dzieciaka z łap knypków i gówno cię to obchodzi. Wszak ty już ją znalazłaś... Kurwa mać! – zakląła Maura, a potem wybuchnęła śmiechem.

Śmiała się do rozpuku, wychodząc po schodkach z basenu. To naprawdę było cholernie zabawne. Całą swoją strategię władzy i przetrwania w Ciemnych Czasach oparła na Pustych, ich sztucznie wymuszonej lojalności oraz absolutnym posłuszeństwie wobec wdrukowanych nakazów i zakazów. Działało sprawnie. Ale nie w przypadku marzenia, które stało się obsesją. Oto scheda po Symeonie, której nie przewidziała. Jak on dała się pochłonąć śmiałej, obrazoburczej wizji i patrząc daleko w przód, straciła z oczu rzeczywistość. Nikt jej tego nie wytknął. Bo kto? Bojąc się buntu, zdradzieckiego ciosu w plecy – skazała się na samotność autokraty. Tropiciele na czele z Nelą zawiedli głównie dlatego, że nie umieli się jej przeciwstawić. Nie mogli! Takimi ich stworzyła – bezwolnymi i skupionymi na

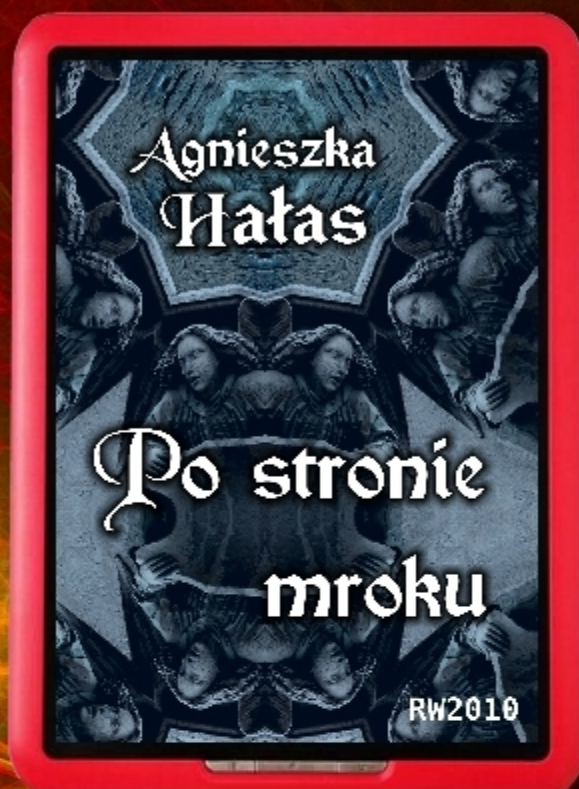
swych cząstkowych celach. Próbowwała szukać winnych na oślep, lecz daremnie. Wyłącznie odpowiedzialność za lekkomyślną utratę cennej zdobyczy ponosiła ona, Maura. Tym większa była jej wściekłość. Symeon za swój brak czujności zapłacił życiem. Jej umknął klucz do przyszłości. Tylko ona rozumiała, jak jest ważny! Nigdy nie wyjaśniła swej służce, po co szuka, czemu goni przez czas i przestrzeń za tym akurat dzieckiem, a wcześniej za jego matką. Ani czemu ważniejsze niż namierzenie obiektu było jego fizyczne pochwycenie. Bo i po co pani Zamku Snów miałyby się komukolwiek tłumaczyć ze swych dalekosiężnych zamiarów? Zwykli ludzie nie pojęliby, nie doceniliby. Puści – wolni od wszelkich pragnień i dylematów – tym bardziej. Tylko Maura ogarniała całość zamysłu i dała plamę! Czemu wcześniej nie słuchała Neli, kiedy ta jeszcze była użyteczna, miast kierować się swoim aroganckim widzimisię? Testów jej się zachciało! Wykolejenie pociągu namieszało we wzorze za bardzo. Dziewczynka przeżyła, ale wcale nie musiała. Znak? A może zwyczajny, kuźwa, fart! Poniewczasie Maura odkryła, że to ona sama popełniła ów niewybaczalny błąd w założeniu. Taki jak pomylenie nieśmiertelności z niezniszczalnością. Teraz płaci za swą pychę i niecierpliwość. Dzieciak ocalał z katastrofy, ale trafił do Boru, gdzie nie miała żadnej władzy. Czy jej się to podobało, czy nie, kolejny ruch należał do nieprzewidywalnych skrzatów. Zajmą się ludzkim szczenięciem albo nie. Ona mogła tylko czekać na okazję i mieć nadzieję, że dzieciak przetrwa. Oto do czego doszło! Władczyni Zamku Snów, Wielebna Maura będzie pokornie czekać, karmiąc się nadzieją jak pospolita kobieta. Może jeszcze... o miłości zacznie śnić? O prawdziwym, szczerym uczuciu, które odegna nudę i samotność. O partnerze wiernym z własnej woli i dość odważnym, by wspólnie dzielili łożę, marzenia, plany...

Jakie to żalosne. I jakie śmieszne! Maura chichotała histerycznie, patrząc, jak Nela dygoce na całym ciele. Pusta wciąż tkwiła po pas w zimnej wodzie. Pani nie pozwoliła jej wyjść, więc niewolnica marzła.

# Oficyna wydawnicza **RW2010**

## Na każdą kieszeń na każdy czytnik

**Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieżę zaświatów. Zachowajcie czujność. Demony czyhają.**



**Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach obleżonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.**

**Dobre ebooki  
w dobrej cenie**

**szukaj na**

**[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)**

**lub w e-księgarniach**

# **RW2010**

## **REWOLUCJA WYDAWNICZA!**